

◆ Za i przeciw legalizacji „Solidarności” — str. 2 i 3

◆ Wzlot i upadek menedżera — str. 1 i 6

◆ Gdy ratunek nadchodzi za późno — str. 4

◆ Jan Duch w Warszawie po 20 latach — str. 11

◆ Sensacyjne losy rękopisu „Pieśni o zamordowanym narodzie żydowskim” — str. 10

Dreszczyk igrania z fortuną — patrz strona 5



Foto: Grzegorz Gałstąski

Tr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 43 (1595) ROK XXXI 22 PAŹDZIERNIKA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Bezwzględne pierwszeństwo dla zysku zderzyło się z koniecznością służby na rzecz miasta.

Kto jest katem na spółki?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

— Odszedłem, bo władza utraciła się za moimi plecami w sprawę przedsiębiorstwa. Byłem za bardzo i za wcześnie w reformie — tłumaczy, nie kryjąc emocji. Jego następcą wyjął się to sobie tak: — Musiał odejść, bo miał zbyt „łódzkie” spojrzenie. Z perspektywy Łódź widział tylko zysk nie do stracenia w ogóle Skierkowie. Jakże miał dbać o miasto idąc na konfrontację z władzą?

SPÓŁKI SĄ DOBRE NA WSZYSTKO

Włodzimierz Wesołowski, prezes łódzkich esperantystów, wygrał konkurs na dyrektora w 1988 roku. Po dłuższym, półrocznym wakacji na stanowisku naczelnego. Nikt się wówczas nie

pałił zasiać za tym biurkiem. Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Skierkowie, które od dawna ugrzęzło w kłopotach, zajmowało się komunalnym mydłem i powidłem: wodą, gazem i kanalizacją, zielenią, drogami i oczyszczaniem miasta, komunikacją, cementarzem, nawet schroniskiem dla zwierząt. Ten „wszystkoizm” drogo kosztował wszystkich: budżet miejski, z którego latano deficyt; samo miasto, domagające się lepszej opieki, gdy brakowało środków na podstawowy sprzęt; pracowników — zatrudnionych w złych warunkach, nisko opłacanych. Dyrektor Wesołowski miał po wyborze jedną tylko wizję, jak postawić na nogi gospodarkę komunalną w Skierkowie. Wyobrażał sobie, że wy-

stąpi na sesji rady narodowej, uświadomi radnych, jak niezbędne jest miastu mocne przedsiębiorstwo, jak przedsiębiorstwo potrzebne są do wzmocnienia pieniędzy, wybębni, ile się da, z najgorszego jakości wybrnie. Będzie tak co roku — myślał — jechać na dotacjach, bo przy cenach urzędowych nie ma innego wyjścia. Udało mu się, choć z trudem, dojechać do końca roku, wybębniwszy nie tylko dotacje, ale również zwolnienie z podatku.

Było to jednak rozwiązanie tymczasowe. Najgorsze miało dopiero nastąpić.

Z początkiem 1987 roku z PGKiM uciekli niemal wszyscy pracownicy zakładu pogrzebowego. W czerwcu złożyli wypowiedzenia konserwatorzy sieci

wodno-kanalizacyjnej. Chcieli przynajmniej zarabiać nie mniej niż 20 tys. zł miesięcznie. Zarobki w skierkowskim przedsiębiorstwie odbiegły od średniej w dół na tyle, że nawet przyzwyczajeni do biedy zaczęli sarkać. Dotychczasowymi środkami, poprzez dotacje i ulgi, można było co najwyżej powstrzymać dalszy upadek.

I wtedy właśnie, w sytuacji podbramkowej, dyrektor Wesołowski odkrył dla siebie spółki. Pomogła mu w tym „gdyńska” spółdzielnia „Inicjatywa”, organizując wykład, prezentując zalety niekonwencjonalnych rozwiązań w sferze organizacji i łączenia kapitałów. Szybko dał się przekonać. Spółki wydały mu się dobre na wszystko. Zastrzyk w postaci kapitału wspólnika dopomógł mu w zlikwidowaniu deficytu. Spółki, obejmując w posiadanie najbardziej zagrożone odcinki, umożliwiły przedsiębiorstwu od „wszystkoizmu”, pozostawiając mu dziedziny bardziej opłacalne. Wreszcie — miało to być dobry sposób na wyższe zarobki.

Zarobki pracowników spółki rosły w sposób niejako automatyczny. Dla nowo powstałej spół-

Stan naszego kraju jest wielkim skandalem w Europie, który trwa już stanowczo zbyt długo...

Paradoks księcia di Lampedusa

EDMUND LEWANDOWSKI

„Wszystkie dotychczasowe nasze rządy rozpoczynały swoją władzę pod hasłami zaprowadzenia różnych pozytywnych i przez naród upragnionych reform. (...) Naród początkowo wierzył w te zapowiedzi, witał każdy nowy rząd z uczuciem nadziei na lepsze czasy. Kiedy się jednak okazało, że zapowiedziane każdorazowo hasła i reformy były tylko czczymi frazesami rzucanymi natrętnym obywatelom, że każdy nowy rząd zamiast zapowiadanych reform prowadził nadal politykę chaosu, marazmu i klęsk — społeczeństwo przestało wierzyć oświadczeniom rządów, zaciskało zęby i klnąć, czekało z upragnieniem i rezygnacją jakiegoś wybawienia”.

Jest to cytaty z artykułu Jana Stanczyka, który ukazał się sześćdziesiąt jeden lat temu w tygodniku „Głos Zagłębia” (9 I 1927). W tym czasie na czele rządu stał Józef Piłsudski. Był to już piętnasty z kolei rząd od chwili odzyskania przez Polskę niepodległości. W zakończeniu cytowanego artykułu Jan Stanczyk (sekretarz generalny Centralnego Związku Górników, późniejszy minister w rządzie londyńskim) pisał następująco: „Po ośmiu miesiącach panowania rządu uzbrojonego prawie w dyktatorską władzę, stojącego znowu nad brzegiem tej samej przepaści, nad którą nas w pamiętnych dniach majowych zatrzymał krwawy żołnierz i robotnik. Istotnie jakiś tragizm bezwoli, w którym łamią się wszelkie wysiłki i ofiary zawisł nad naszym nieszczęsnym krajem i ludem”.

Gdy 2 października 1926 r. Józef Piłsudski zastąpił prof. Kazimierza Bartla na urzędzie premiera, wywołało to sensację w społeczeństwie i wzrost nadziei na poprawę sytuacji. Stopniowo jednak legendarny Komendant, marszałek Polski tracił poparcie. W pierwszych wyborach po zamachu majowym (marzec 1928) obóz prorządowy zdobył tylko 25 proc. głosów oraz 29 proc. mandatów.

Już w czerwcu 1928 r. Józef Piłsudski ubolewał, że nie udało mu się „stanowczo zerwanie z paskudztwami przeszłości... Gdzieś nikiel pieniądza, gdzieś kradli...” Zrezygnował więc z funkcji premiera, którą ponownie objął Kazimierz Bartel i sprawował niespełna 10 miesięcy. Następnie powstał rząd „twardej ręki” albo inaczej „pułkowników” na czele z majorem Kazimierzem Świąłskim. W grudniu 1929 r. gabinet ten nie uzyskał wotum zaufania i po raz trzeci wrócił prof. Bartel. Jednakże po 79 dniach powołano nowy rząd „silnej ręki” pod przewodnictwem pułkownika Waleręgo Śławka.

Wszystkie zmiany i zabiegi niewiele dały. Kryzys pogłębiał się i mnożyły wezwania do obalenia „dyktatury”. Wobec tego 25 sierpnia 1930 r. szefem rządu znowu został Józef Piłsudski. Wyrażnie miał już dość demokracji sejmowej i ciągłych zmagania z niesformą opozycją. Sygnął po środki terroru i zastraszania. W nocy z 9 na 10 września 1930 r. aresztowano tych przeciwników sanacji, których osobiste nie znosił. Wtrącono do więzień nawet byłego trzykrotnego premiera Wincentego Witosa i słynnego działacza śląskiego Wojciecha Korfantego.

Przed listopadowymi wyborami 1930 r. aresztowano 15 proc. członków parlamentu i około 5 tysięcy innych działaczy politycznych. Represje i oszustwa pozwoliły zdobyć stronie rządowej 47 proc. głosów. Po tym wątpliwym zwycięstwie na czele kolejnych rządów stawali: pułkownicy Walerę Ślawek, Aleksander Prystor i Janusz Jędrzejewicz, a później Leon Kozłowski i znowu płk Ślawek. W okresie dziewięciu lat — od przewrotu majowego do śmierci Józefa Piłsudskiego — aż 12 razy zmieniał się premier rządu polskiego.

Wydawać się mogło, że powszechny żal po śmierci Marszałka zintegruje naród i wpłynie na wzrost popularności piłsudczyków. A tymczasem w najbliższych wyborach sanacja poniosła klęskę katastrofalną. Udział w głosowaniu do sejmiku wzięło tylko 46 proc. uprawnionych (w stolicy niecałe 30 proc.). Według obliczeń Wincentego Witosa rząd poparło około 10—20 proc. wyborców.

Po klęsce wrześniowej nienawiść do piłsudczyków jeszcze bardziej wzrosła. Byli prezes polskiego PEN Clubu i Związku Literatów Ferdynand Goetel, którego z aprobatą cytuję generał Tadeusz Machalski, tak charakteryzował powszechną opinię w kraju:

„O piłsudczykach mówiono ONI. Nie my, nie Polacy, nie naród, nie społeczeństwo ale ONI. Oni przegrali wojnę, oni uciekli za granicę, unosząc swój i narodowy dobytek, oni okryli hańbą imię Polski w oczach oświeconego świata, ich generałowie i pułkownicy zmarnowali dzielność, patriotyzm i męstwo polskiego żołnierza, ich pyszałkowatość spowodowała podjęcie wojny z Niemcami bez zważenia na słabość własnych sił, ich dyplomaci i politycy nie mieli żadnej wiedzy o tym, komu i jak dalece ufać należy. Głupcy, fantasty, niedołędy i jak się okazało, tchórze — to oni”.

Chroniczny kryzys polski

W siedemdziesiąt rocznicę odzyskania niepodległości, w czterdziestym piątym roku Polski Ludowej kondycja



Collage: Grzegorz Gałstąski

Ogłoszenia

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretnarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gebarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gafasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błazewski,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gązda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył

Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.

Strviski, Maciej Świerkocki
Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5
tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 23.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzę-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratę
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysy-
łki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa Książka Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00 958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceńców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następny —
od dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 3332. S-5.

Przegląd prasy

Ciekawy i kontrowersyjny
program uzdrowienia naszej gos-
podarki przedstawił w tygod-
niku „ODRODZENIE” (nr 41)
Aleksander Bocheński. Jego
propozycje różnią się dość istot-
nie od najczęściej wysuwanych
przez różnych ekspertów i dzia-
laczy. Piszemy między innymi:

„Prześć się, że nie ma
alternatywy innej jak albo sys-
tem «3 S» albo biurokracja
sprzed 1982 roku. Zrozumieć, że
jest jeszcze poza tymi dwoma
systemami menedżerski, pow-
szecznie obowiązujący w kra-
jach rozwiniętych i że jest on
równie daleki od systemu sprzed
reformy, jak nasze nieszczerne
«3 S» (...)»

Zrozumieć, że w żadnym roz-
winiętym kraju postęp nie szedł
w parze z wpływem samorząd-
ów na decyzje dyrektora, już
nie mówiąc o jego nominacji i
odwołaniu. W modelu «3 S» dy-
rektor siedzi na swym fotelu
jak mysz na pudle, uzależnio-
ny od wielu stron i pobierają-
cy płacę nie pozostającą w żad-
nej proporcji do wagi jego ob-
owiązków. Zdarza się, że lo-
kowany jest na setnym albo
jeszcze dalszym miejscu na li-
ście plac. W USA place mene-
dżerów wynoszą przeciętnie
trzydziestokrotność tego, co
otrzymuje robotnik. (...)»

Nade wszystko i przede
wszystkim zaprzestać stosowa-
nia w życiu doktrynerskich i
nierzeczywistych koncepcji naszych
teoretyków, którzy nigdy nie
mieli okazji zetknąć się z za-
daniem praktyki administracji gos-
podarczej. Odesłać ich z całym
respektem do uczelni, a powie-
rzyć decyzje gospodarcze prak-
tykom, tj. menedżerom, którzy
wykazali, że potrafili wybierać
co dzień mniejsze zło i trafiać
drogę postępowania — skoro
potrafili osiągnąć mimo nie-
prawdopodobnego skrepowania
i trudnych warunków — roz-
wój swych przedsiębiorstw»

POLITYKA A GOSPODARKA

Nie wszyscy specjaliści opo-
wiadają się za zwiększeniem
roli samorządów pracowniczych
i związków zawodowych w
przedsiębiorstwach. Podczas
dyskusji w Polskim Towarzyst-
wie Ekonomicznym, której
fragmenty opublikował „TY-
GODNIK KULTURALNY” (nr
41), prof. Andrzej Tymowski
stwierdził, że sprawy ekono-
miczne muszą mieć pierwszeń-
stwo przed politycznymi.

„Nie wolno dopuścić do tego,
że grupa strajkujących, bez
względu na sytuację finansową
przedsiębiorstwa, może wymusić
to, co chce. Pieniądże daje się
dla świętego spokoju, żeby nie
strajkowali. Czynnik politycz-
ny popętniają jeden zasadniczy
błąd. Nie rozumieją, że słabość
tych decyzji w sumie obraca
się przeciwko nim, tylko nie
dzisiaj a za miesiąc»

Andrzej Tymowski uważa,
że związki zawodowe mają w
Polsce za duże uprawnienia. W
innych krajach rozwiniętych te-
go nie ma. Potrzebny jest pe-
wien szok w postaci kategorycz-
nego sprzeciwu władzy wobec
niesłusznych postulatów ekono-
micznych.

„Nie chodzi nawet o to, czy
jest to «Solidarność», czy
OPZZ, ale o ich rolę. Związki
chcą podwyższyć emerytury,
podwyższyć świadczenia — pla-
ce muszą nadążyć — a po-
tym jeszcze walczyć z inflacją.
To są rzeczy zupełnie niepo-
ważne. Jeśli ktoś wysuwa ja-
kieś żądania, to powinien jed-
nocześnie wskazać, jak je sfi-
nansować. Proszę bardzo —
odbiemy górnikom, stoczniow-
com, a dajmy włóknarzom. Nauka
pierwszych lat osiem-
dziesiątych została udoskonalo-
na, i ludzie osiągnęli już w tej
chwili co najmniej liceum,
jeśli nie uniwersytet w zakre-
sie żądań»

Związkowcy wskazywali jed-
nak ostatnio przykłady niegos-
podarłości i błędnej polityki
ekonomicznej. W dwutygodniku
„WIADOMOŚCI PRODUKCYJ-
NE” (nr 16) Zofia Kraszewska
przytacza wypowiedź przewod-
niczącego Federacji Niezależ-
nych Samorządnych Związków
Zawodowych Przemysłu Lek-
kiego, Pawła Szymańskiego.
Pod koniec sierpnia mówił on:

„Strajki — to efekt arogancji
i nietrafnych decyzji centrum
gospodarczego. Arogancji przy
nieredakcji stusznych uchwał,
stanowisk i opinii związków
zawodowych, rozwiązywanie
ich w ślamazarnym tempie li-
cząc na zanik pamięci robot-
ników i związków zawodowych,
zatonięcie w biurokratycznej
niemocy zbiorowej odpowie-
dzialności»

Strajki sierpniowe spotkały
się z większym poparciem spo-
łeczeństwa niż kwietniowe i
majowe. Stanisław Kwiatkow-
ski ujawnił w poprzedniej
„POLITYCE” (nr 41), że 28
sierpnia br. popierało strajki 47
proc. dorosłych Polaków, de-
zaprobatę wyrażało 41 proc., a
pozostałi nie mieli zdania.
Ponad jedną czwartą ankieto-
wanych uważała, że sytuacja
jest tak zła, iż ludziom nie po-
zostaje nic innego jak tylko
strajkować.

PROBLEM „SOLIDARNOŚCI”

Zia sytuacja gospodarcza spo-
wodowała wzrost popularności
„Solidarności”. Stanisław Kwiat-
kowski przyznaje rację Broni-
slawowi Geremekowi, że „w
młodym pokoleniu «Solidar-
ność», która dotąd była tylko
mitem, stała się rzeczywisto-
ścią”. Jednakże w końcu sier-
pnia br. postulat reaktywowa-
nia „Solidarności” uważało za
nieracjonalny 47 proc. i niesłuszny
43 proc. Polaków. Sympatię do
Lecha Wałęsy deklarowało 20
proc. społeczeństwa, brak sym-
patii — 38 proc., obojętność —
26 proc. badanych. W grupie
byłych członków „Solidarności”
37 proc. odnosiło się pozytywnie
do byłego przewodniczącego.

Władysław Siła-Nowicki sta-
nowczo twierdzi w wywiadzie
udzielonym tygodnikowi „LAD”
(nr 41), że pluralizm związko-
wy nie będzie powodował eska-
lacji żądań materialnych. To
właśnie brak pluralizmu prowa-
dzi do niebezpiecznych konflikt-
tów. Dlatego sprawa ta musi
być pierwszym punktem „o-
krągłego stołu»

Mecenas Siła-Nowicki jest do-
radcą Edwarda Radziewicza, o-
peratora sprzętu zmechanizowa-
nego, delegata Szczecina do
rozmów „okrągłego stołu”. Po-
łączyła ich obu — jak mówi w
inym wywiadzie E. Radziewicz
— wspólna pasja — legalizacja
NSZZ „Solidarność»

Edward Radziewicz uważa, że
nie można się zgodzić na re-
zygnację z nazwy „Solidarność”.
Trzeba też próbować wyego-
tować przy „okrągłym stole”
zgodę na strukturę regionalną
Związku. Działalność tylko na
poziomie zakładów należałoby
uznać jedynie jako rozwiązanie
przejściowe.

Bardzo ciekawy artykuł na
temat „Solidarności” opubliko-
wał w dolnośląskim piśmie
katolickim „NOWE ŻYCIE” (nr
20) Witold Gadomski. W orga-
nie Kurii Metropolitalnej pod-
kreśla on, że idea solidarności
społecznej jest piękna i powin-
na być propagowana, ale branie
dalekosieżnego celu za rzeczy-
wistość jest niebezpieczne. Poli-
tycy muszą kierować się real-
nymi diagnozami istniejącego
stanu.

„Żadne społeczeństwo nie jest
jednolite w takim stopniu jak
to sobie wyobrażali działacze
«Solidarności». W normalnym
pluralistycznym społeczeństwie
istnieją liczne grupy świadome
swoich interesów i działające
dla ich zabezpieczenia. (...) Rów-
nież w okresie «Solidar-
ności» jedność społeczna była
fikcją. W związku z działan-
kami, które nieformalnie, ukła-
dano w ramach Związku, wy-
stąpiła konieczność przywró-
cenia pracownikom zatrudnionym
w przemyśle ciężkim. Oczywiście,
nie dochodziło do protest-
tów, powiedzmy, hutników prze-
ciwko lekarzom, gdyż więzi
społeczne w realnym socjalis-
mie są «zapośredniczone» przez
władzę, ale podwyżki plac i u-
zyskiwane przywileje przez jed-
ną branżę wpływały na pogor-
szenie się sytuacji innych. Tak
więc hasło społecznej «solidar-
ności» zamazywało realne kon-
flikty, które wcześniej czy póź-
niej rozsadziłyby jednolity
Związek»

U podstaw drugiego etapu re-
formy ekonomicznej leży kwes-
cja zmniejszenia obecności pań-
stwa w gospodarce. Reaktywowa-
nie związku „Solidarność” nie
przybliża jednak tego celu, lecz
wprost przeciwnie. Groził be-
dzie wzmocnieniem obu stron.
Witold Gadomski stawia py-
tania o zasadniczym znaczeniu.

„Czy w normalnym kraju o
zdrowej gospodarce i pluralis-

tycznym społeczeństwie można
sobie wyobrazić funkcjonowa-
nie «Solidarności»? Zapewne nie!
Jeżeli więc chcemy, by Polska
była krajem normalnym, to czy
droga do tego ma iść przez reaktywowa-
nie «Solidar-
ności?»

Polska musi dziś zmienić
strukturę gospodarki: ograni-
czyć udział przemysłu ciężkie-
go, a rozbudować usługi, drob-
ną wytwórczość i handel. Nie
pomocze w tym związki zawo-
dowe, oparte na wielkoprze-
mysłowej klasie robotniczej. W
dodatku trzeba obniżyć realne
dochody jednych grup kosztem
innych.

„Nie znam kraju, w którym
związki zawodowe pomogłyby
w rozwiązaniu tych problemów.
Nigdy też szybki rozwój gos-
podarczy nie dokonywał się tam,
gdzie robotnicy przemysłowi
dzięki swym związkom zawo-
dowym byli w stanie wymuszac
decyzje sprzeczne z rynkową
racjonalnością. (...) Osiem lat
po utworzeniu NSZZ «Solidar-
ność» problem legalizacji jej
struktur nie jest sprawą pierw-
szościową. Najważniejsze są
zmiany, jakie powinny nastąpić
w gospodarce i w jej politycz-
nym otoczeniu»

Powyższy artykuł z pisma
wydawanego przez Kurie Me-
tropolitalną Wrocławską prze-
drukował w całości tygodnik
„SPRAWY I LUDZIE” (nr 40).
Pominięto jedynie zaznaczenia
ingerencji urzędowych. Redakcja
dostrzegła w nim wiele momen-
tów styjących z własnymi ana-
lizami sytuacji.

Jakie są dziś granice ustępstw
politycznych w naszym kraju?
Na to pytanie próbuje odpowie-
dzić w miesięczniku „POLITY-
KA SPOŁECZNA” (nr 8) Mie-
czysław Nasilowski. Jego zda-
niem, nie ma prostej zależności
między większą liberalizacją
a gotowością społeczeństwa
do wyrzeczeń i wydajniejszych
pracy. Ale potrzebny jest au-
tentyczny pluralizm instytu-
cjonalny.

„Nie trzeba więc zmieniać
ustroju politycznego lub nara-
żać partii rządzącej na utratę
władzy, aby system społeczno-
polityczny i gospodarczy u-
czył się lepszym, opierającym
się na szerszej bazie społecz-
nej oraz organizacyjnie efek-
tywniejszym. (...) Obawiam się,
że bez stworzenia autentycz-
nych pluralistycznych struktur
instytucjonalnych znacznie trud-
niej będzie wzajemnie się poro-
zumielić. Dezintegracja społecz-
na będzie się pogłębiać i utrwa-
lać frustrację ambitnego narodu
pozostającego w tyle za świat-
owym postępem cywilizacyjnym»

WNIOSEK Z PRZESZŁOŚCI

W opublikowanym obok ar-
tykułu piszę o doświadczeniach
przeszłości i wyzwaniach tera-
źniejszości. Powołuję się m. i.
na tekst Jana Szczepańskiego z
miesięcznika „WEKTORY GOS-
PODARKI” (nr 8). Wybitny
socjolog konkluduje:

„Z dziejów Polski i z dzie-
jów innych reform można wy-
ciągnąć jeden wniosek: refor-
my gospodarcze, społeczne i po-
lityczne są skuteczne, gdy rea-
lizuje je jeden człowiek mają-
cy wyraźną wizję celów, umie-
jący do tych celów i metod ich
realizacji zmobilizować sztab i
szerokie grono współpracowni-
ków, umiejący pokazać ludziom
perspektywę przyszłości»

Jan Szczepański daje przy-
kład Ludwika Erharda, który
przyniósł do szybkiego roz-
woju Republiki Federalnej Nie-
miec. Nie apelował przy tym do
patriotyzmu i poczucia moral-
nego, lecz stworzył system gos-
podarczy, w którym wysoko
premiowano chęć zysku, dążenie
do bogactwa, przedsiębiorczość,
zdolność do ryzyka, inteligencję
w działaniu. W ten sposób wy-
zwał sily tkwiące w każ-
dym społeczeństwie.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

WŁADYSŁAW KLIMCZAK, prezes Krakowskie-
go Towarzystwa Fotograficznego:

— Bodaj w miniony piątek wysłuchałem w radiu porannej
audycji „Co niesie dzień”. Była to rozmowa trzech panów: szefa
krakowskiego PRON, a zarazem doskonałego znawcy spraw le-
gionowych; młodego publicysty, który wrócił z Nowego Jorku,
gdzie przebywał m.in. w Instytucie Pilsudskiego, oraz dzienni-
karza naszej rozgłośni. Mówili o legionach, o odzyskaniu nie-
podległości, o tragedii narodu w czasie ostatniej wojny, o smut-
nym losie polskich oficerów, wracających z Zachodu, o dramacie
oficerów AK — w tonie tak bardzo krytycznym wobec rzeczy-
wistej, powojennej praktyki sprawowania władzy, tak prawdzi-
wie, a momentami nawet dramatycznie (dowiedziałem się m.in.
że ojciec jednego z rozmówców zginął w Katyniu), iż stanęły
mi przed oczami burzliwe dzieje mojej rodziny, splecione z wy-
darzeniami historycznymi w Polsce. Złazcza losy ojca, który jako
chłopak uciekł do legionów z domu, doświadczył przez okno, potem
— na polecenie Pilsudskiego — zaprowadził polskość na Pomorze,
a zginął od rany w 1923 roku... Ta audycja bardzo mi przypadła
do serca, podobnie jak telewizyjny program, przedstawiający losy
Elżbiety Zawadzkiej, oficera AK, w czasach stalinowskich. Myśle,
że najwyższy czas powiedzieć bez osłonek całą prawdę o tych
czasach, włącznie z tym, że uderzenie radzieckie z 17 września
1939 r. było dla nas ciosem w plecy, a nie żadną — jak to ciągle
jeszcze się ujmuje — koniecznością dziejową. O stalinizmie mówi
się teraz dużo, coraz więcej, ale pewnych zasadniczych spraw
— oczywistych dla każdego patrioty — nie dopowiada się nadal
do końca. Inaczej jest w Estonii, gdzie destalinizacja zaczęła się
później niż u nas, ale od razu „ruszyła z kopyta”. Przebywałem
tam niedawno, uczestnicząc w jury międzynarodowego konkursu
„Kobieta w artystycznej fotografii”. Otóż w Estonii mówi się
teraz bez żadnych zahamowań o tym, jaką tragedią dla tego
małego narodu stało się panowanie Stalina... Wczoraj, wracając
z uroczystości na Kopcu Pilsudskiego, spotkałem młode małżeń-
stwo z dziećmi; nieśli wszyscy proporzyski i śpiewali „Pierwszą
Brygadę”. Tak — to właśnie jest polskość. Musimy wrócić do
naszych tradycji. Czym bez nich jesteśmy?

MICHAŁ SUSKI, dyrektor ds. sportowych LKS:

— W minionym tygodniu układaliśmy zimowy plan zajęć w
dwóch naszych halach sportowych, które — choć nie są z gumy
— muszą pomieścić 3 sekcje halowe, a oprócz nich szereg kon-
kurencji typowo letnich. Nie jest to łatwe. Jak co tydzień, za-
jmowała mnie również walka o zapewnienie dóbr materialnych
dla naszej klubowej młodzieży. Te kilka tysięcy złotych i
chłopców z 10 sekcji LKS potrzebuje odzieży sportowej, obuwia,
specjalistycznego sprzętu, środków na wyjazdy, na zawody ligowe,
na opiekę zdrowotną w czasie treningów. Celowo mówię o
„walce”, skoro brakuje pieniędzy, zaś duża część sprzętu krajowej
produkcji nie spełnia wymagań użytkowych ani pod względem
bezpieczeństwa. Pozostaje więc sprzęt zagraniczny, do nabycia
wyłącznie za pośrednictwem Centralnego Ośrodka Sportu, z czę-
ści środków dewizowych, uzyskanych za transfer zawodnika. Bez-
pośrednio do ręki nikt nam dewiz nie daje — co najwyżej „rów-
nowartość” w złotychkach, po oficjalnym kursie bankowym. Muszę
też dodać, że sprzęt sprowadzany z zagranicy obłożony jest bar-
dzo wysokim cłem.

Tyle o rzeczach smutnych. Nie mogę teraz nie wspomnieć o
zbliżającym się jubileuszu 80-lecia powołania LKS. Przygot-
owujemy się do akademii, która odbędzie się 3 listopada w hali
przy al. Unii. Chcę też powiedzieć zdanie o nadziejach, jakie
wzbudziły nowe osoby w rządzie. Osobiście liczę na ministra
przemysłu i ministra edukacji narodowej.

LESZEK KACPERSKI, magazynier:

— Największe zaskoczenie? Oczywiście minister przemysłu,
Witold Gebarowski. Miałem nadzieję, że jak to powiedział premier
Rakowski — „baronów” przemysłu, jest to po prostu „prywa-
ciarz”. W jaki sposób poradzi sobie z nimi? A może osi pierwsi
poradzą sobie z nim?

Notował: ANDRZEJ GEBAROWSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— W październiku 1899 r. Józef Pilsudski i jego żona Maria
z Koplewskich przekraczali próg wynajętego mieszkania przy
ul. Wschodniej 19 w Łodzi. Umieblowanie lokalu na piętrze było
bardzo skromne. W gabinecie nad biurkiem wisiał portret Ro-
mualda Traugutta — artykuł ANDRZEJA KEMPY.

— Miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Otworzyłem oczy
i w przelotnym oknie zobaczyłem sylwetkę kobiety. Wy-
dawała mi się, że siedzi w fotelu, że ma dużą, srebrną fryzurę,
przypominającą perukę. Kim była tajemnicza kobieta? — wyjaś-
nienie w kolejnym odcinku książki ANDRZEJA BRYCHTA „Azył
polityczny”.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego w świecie ludzi rodzaj żeński
tak często i powszechnie uchodził za zły i grzeszny — pisze
MIROSLAWA SARBINSKA w artykule pt. „Seks i przeznacze-
nie”.

— W pełnej tajemnicy 15 kwietnia 1919 r. zakończono przy-
gotowania do wyprawy wileńskiej. Komendant, zacięły palacz,
uczynił ponoć ślub, że nie zapali papierosa, póki nie zdobędzie
Wilna — fragment książki CEZAREGO LEŻENSKIEGO pt.
„Kwatera 139”.

— Typowego satanistę poznać łatwo. Obowiązkowym strojem
jest czarna kurtka, nabitą ewiekami. Najbardziej znanym sym-
bolem jest odwrócony krzyż — artykuł BOGUMILA A. MA-
KOWSKIEGO, który warto przeczytać, aby uszerezić dzieci przed
wynaturzeniem.

NASTĘPNY NUMER „ODGŁOSÓW” 20 STRON,
CENA BEZ ZMIAN.

UWAGA CZYTELNICY!

Już 10 listopada upływa termin prenumeraty „Ogłosów”. Jest
to najlepsza gwarancja otrzymania wszystkich numerów. Warunki
prenumeraty podane są w stopce redakcyjnej.

W przyszłości będziemy drukować: dalsze odcinki książki AN-
DRZEJA BRYCHTA i ZBIGNIEWA NIENACKIEGO, fragmenty
najnowszej powieści LEONARDA pt. „Facet”, książkę ANATO-
LIJA RYBAKOWA „Rok 1935”, interesujące reportaże krajowe i
zagraniczne, artykuły, wywiady, recenzje.

NR 43 (1595), 22 PAŹDZIERNIKA 1988 R.

naszego społeczeństwa jest nadal bardzo zła. Mam dramatyczną sytuację gospodarczą, straszliwe zaniedbania w służbie zdrowia, oświacie, kulturze i innych dziedzinach, zdevastowane środowisko naturalne, zdekapitalizowany majątek produkcyjny, ogromne zadłużenie zagraniczne. Spada autorytet instytucji politycznych i osób prominentnych, pogarszają się nastroje społeczne. Większość dorosłych Polaków oczekuje, że w przyszłości będzie tak samo bądź jeszcze gorzej. Najgorsze nastroje są w dużych miastach i wśród młodego pokolenia.

Stan naszego kraju jest wielkim skandalem w Europie, który trwa już stanowczo zbyt długo i kompromituje naród polski. W innych czasach sąsiedzi nie ścierpieliby takiego bałaganu i niegospodarności na obszarze 312,7 tys. km kw. w środku kontynentu. W osiemnastym wieku — jak bratnie stwierdził Stanisław Ignacy Witkiewicz — „znudzone naszą ohydą państwa ościenne odebrały nam swobodę gnicia we własnym śmierzdzącym sosie. Kara była w zupełności zasłużona...”

Historyk brytyjski Arnold

nie umiecie pracować pod własnym, polskim kierownictwem. Wiele przedziwnych i niejasnych przysłówów, które Wirtschafft, zrobi swoje. Doprowadzi do krańcowego kryzysu. A wtedy wy, specjaliści od anachizmy, powstanie taki spowolnienie rozgadacie, taki arcydzieło bałaganu, że nawet najlepszy ustrój i rząd nie nie zdolają poradzić. I wówczas... Wówczas my wygramy trzecią wojnę bez wojny”.

Republika Federalna Niemiec ma dziś siedem razy większy dochód narodowy na jednego mieszkańca niż Polska. Nasz dochód jest o ponad 10 proc. niższy niż dziesięć lat temu. W latach 1979—1981 nastąpił spadek zaradkowy się jedynie państwem nawiedzonym przez katastrofizm przyrodniczy lub wojenny. Obecnie zadłużenie zagraniczne stanowi około 40 proc. dochodu narodowego. W połowie 1988 r. statystyczny Polak był winien zagranicy 1003 dolary oraz 182 ruble.

Tym fatum ciążącym jak zmora na umysłach i działaniach Polaków jest tradycja, której nie potrafimy i nie chcemy przezwyciężyć. Zależy nam bardzo, żeby Polska była Polska. I dlatego tak nam się wydaje. Nie rozumiemy — jak pisał Witold Gombrowicz — że Synteza jest lepsza od Oj-

twierdzić, że nie pokonamy trudności gospodarczych i społeczno-moralnych bez radykalnych zmian w Kościele i religijności katolickiej. Polscy pilnie potrzebna jest jakaś reformacja religijno-moralna. Bez reformacji niemożliwa jest rewolucja. Zreformowany Kościół mógłby stanowić ideową podstawę socjalizmu. Nie mówiąc o tym, że byłby bliższy źródła ewangelicznych.

Problem „Solidarności”

W okresie poslerpniowym gospodarka polska przeszła od stanu kryzysu do niemal całkowitego bankructwa. Z pozytywnej na skraj przepaści zrobiliśmy niebezpieczny ruch naprzód. Ten lekkomyślny krok obciąża w największym stopniu konto opozycji. Odpowiada ona za nierozważne wywołanie — w kryzysowym stadium — „dądek” — wolnych sobót i podwyżek płac oraz wszczynanie strajków z błahych niejednokrotnych powodów. Złamano elementarną zasadę postępowania z niedomagającym organizmem: *primum non nocere* (przede wszystkim nie szkodzić). Złóżmy los sprawi, że nieprzejednani przeciwnicy tych, którzy doprowadzili do kryzysu, stali się mimo woli ich współnikami.

lecznego. Teraz widzę, że problem jest poważniejszy i należałoby zrobić coś więcej.

W końcu 1986 r. PZPR liczyła 2 mln 129 tys. członków i kandydatów. Skupiała 8,1 proc. dorosłych Polaków — 12,3 proc. mężczyzn oraz 4,2 proc. kobiet. Należało do niej 26,3 proc. ogółu inteligencji, 11,1 proc. robotników, 4,1 proc. chłopów. Nie są to złe wskaźniki. Rzecz jednak w tym, że Partia jest demograficznie podcięta, starzeje się, przechodzi na emeryturę i obumiera. W dodatku dryfuje politycznie. Nie ma efektywnego kierownictwa. W jej szeregach panuje dezorientacja ideowa.

Obawiam się, że przeciwko PZPR przemawia zbyt dużo, aby mogła odzyskać autorytet. Dlatego proponuję przekształcenie jej w nową partię o nazwie Polski Ruch Socjalistyczny. Partia ta nawiązywałaby do tradycji Polskiej Partii Socjalistycznej, Polskiej Partii Robotniczej i „większości” Komunistycznej Partii Polski.

Patronką nowej partii robotniczej proponuję uczynić Marię Koszuską. Była to kobieta niezwykle odważna, ideałowa i mądra, a poza tym — ładna, co też nie jest bez znaczenia. Żyła i działała, jak święta. Zginęła niewinnie w stalinowskim więzieniu. Marian

Z tej ziemi.

Którędy prowadzi droga do obfitości na stole?

Nie mam sprecyzowanego stosunku do felietonów Krystyny Zielińskiej. Jedni ją lubią, inni wręcz wyliczają, gdy tylko usłyszą jej głos. Słucham, kiedy mogę, czytam, jeśli trafię, wielokrotnie się zgadzam, niekiedy się zrywam. Różnie z tym bywa. Ostatnio jednak nie zgodziłem się z tezą lansowaną przez Krystynę Zielińską, gdyż uważam ją za szkodliwą. Tę tezę — oczywiście!

Opowiadała Krystyna Zielińska o tym, jak to do Polski przyjechała grupa zagranicznych architektów, zachwycili się naszą troską o zabytki, ale nie mogli się nadziwić naszymu stosunkowi do nowego budownictwa. Wehdelem do klatek schodowych i nosy zatykali, bo tak tam brzydko pachniało, wydawali, że te klatki są brudne i poobijane, że wokół nowych domów brudno i brzydko. Jak to się dzieje? Dlaczego tak się dzieje?

I opowiadała, że u nich — w tych obcych krajach — to ludzie sami dbają o osiedla, traktują je jak wspólną własność i wspólnie za nie odpowiadają. Nawet sami sprzątają. Dlaczego więc oni mogą, a my nie? Krystyna Zielińska postawiła ich nam za przykład.

To prawda, że u nas bywa brudno, że nikt o nie nie dba, że nos trzeba zatykać, gdy się wchodzi do tej czy innej bramy. Brudne są ulice, odrapane domy, rozkopane jezdnie pełne różnych dziur. Choć trzeba przyznać, że zdarzają się wyjątki chlubne, to prawda, ale nie służą innym za przykład. Nie o to jednak chodzi. Krystyna Zielińska proponuje nam, abyśmy zajęli się sami porządkami, no bo skoro mamy być samorządni.

Po pierwsze — proponowałbym samoobsługę nie mieszać z samorządzeniem się. Być może intencje autorki były inne, ale tak to odebrałem i sprzeciwiłem się, czemu niniejszym daję wyraz.

Po drugie — za szkodliwe uważam lansowanie poglądów, wedle których pożytecznym ma być robienie tego, co powinni byli zrobić inni, czyli wyreżanie innych w wypełnianiu ich obowiązków zawodowych. Nie pojmuję, dlaczego mam sprzątać klatkę schodową, skoro mogę w tym czasie zrobić coś, na czym się znam lepiej, a poza tym zrobić to powinien „gospodarz domu”, któremu płaci się pensję i daje mieszkanie z pieniędzy, które płacę jako czynsz???

Podobno prawdziwy mężczyzna powinien w życiu zasadzić drzewo i zbudować dom. Drzewa sadziłem w ramach akcji zalesiania, teraz ktoś to bezmyślnie niszczy. Domu nie zbuduję, bo do tego potrzeba specjalnej wiedzy, narzędzi, kooperantów, materiałów. Nic z tego nie posiadam, a uczono mnie, abym nie brał się do rzeczy, których nie potrafię robić. Domy powinni budować budowlani o różnych specjalnościach. I niech to robią dobrze. Lansuje się u nas taką tezę, że młodzi ludzie, jeśli chcą szybko mieć mieszkanie, to powinni się do tego przyczynić własną pracą. Uważam to za działanie szkodliwe. Młody lekarz powinien wolny czas przeznaczać na odpocznik lub na doskonalenie wiedzy. Jemu powierzamy przecież swoje zdrowie i powinniśmy mieć pewność, że jest on dobrym fachowcem. Jeśli natomiast będzie w wolnych chwilach tynkował przyszłe mieszkanie, coś w nim przebudowywał, ganiał po dyżurach i temu podobne wyczyny rzeczy, to któregoś dnia popełni „błąd w sztuce” i nie chciałbym, aby ten błąd popełnił ratując mi życie. Dlatego wolalabym, aby swoją inicjatywę wykazywał w praktyce zawodowej.

Ktoś mi nawymyślał ostatnio przez telefon, że w „Odgłosach” odważyliśmy się wskazać szkołę, w której działa się nie najlepiej. Ponoć to nasza wina, żeśmy ujawnili zło. A przecież nie dziennikarze to zło uczynili, tylko pedagodzy. Korepetycje stały się u nas złem powszechnym. I nie ma co udawać, że nikt o tym nie wie. Co jakiś czas ktoś ze znajomych pyta mnie, czy przypadkiem nie znam kogoś w tej lub innej szkole — również wyższej — no bo przydałby się „konsultacja”, gdyż syn lub córka mojego rozmówcy będzie zdawała właśnie do tej szkoły.

Nie mogę zrozumieć, jak pedagodzy mogą godzić się z faktem, że ich uczniowie muszą brać korepetycje? Przecież to dla nich jest najlepsze świadectwo ich niskich kwalifikacji. Ale niestety wiemy, że nie tylko o to chodzi. Jest to również sposób na dorobienie sobie kilku tysięcy. I jest to zjawisko ze wszech miar szkodliwe. Uczy bowiem młodych, że nie ich wiedza, zdolności, predyspozycje decydują o ich przyszłości, a pieniądze i układy rodziców. Później dziwimy się, skąd bierze się taka młodzież? Ano — to myśmy ich takimi uczynili, tak ich wychowaliśmy.

Wolałabym więc, aby nauczyciel nie musiał budować dla siebie domu, udzielać fikcyjnych korepetycji, biegać po zastępstwach, ale żeby miał czas i warunki na doskonalenie swojej wiedzy i swoich pedagogicznych umiejętności. Przyszłość Polski — przekazam za banał — kształtuje się w szkole. Silnej władzy państwowej nie da się oprzeć tylko na armii i policji. Ona musi się przede wszystkim opierać na szkole. A my przez całe niemal 40 minionych lat robimy wszystko, aby było inaczej. No i mamy skutki tego. Wystarczy się uważnie wokół siebie rozejrzeć.

Myślę więc, że naszym hasłem powinno być rzetelne wykonywanie tego, co do nas należy. Jeśli Mieczysław F. Rakowski wolał o inicjatywy — to w pracy powinny się one ujawniać, a nie w działaniu zamiast. Tak rozumieniem kompetencji, postawienie na ludzi, którzy w swojej pracy osiągnęli sukces, a zatem dobrze ją robili. Ludzie sukcesu — to ludzie dobrej roboty. Traci to trochę myśłą jako hasło, ale mimo tego, jest to niezaprzeczalna prawda.

Próbowałem już nam rzucić profesorowie. W literaturze pięknej spotkałem taki pogląd, że jak uczeni dojdą do władzy, to na świecie zapanuje raj. Nie daj mi Boże żyć w takim raj. Urządzenie świata to zbyt poważna sprawa, aby mieli się tym zajmować uczeni. Oni niech lepiej rozwijają naukę. Tej nam też potrzeba i na wysokim poziomie. Do rządzenia niech się biorą politycy, którzy są fachowcami w tej dziedzinie. Mam nadzieję, że Mieczysław F. Rakowski jest właśnie takim fachowcem od polityki. Wszystkie jednakże pokaże praktyka.

To nie znaczy jednak, aby każdy z nas nie miał wpływu na sposób sprawowania władzy, na rządzenie. Niekiedy nazywają to „upodmiotowieniem społeczeństwa”. Nie o nazwy będziemy się spierać, a o to, jak to osiągnąć. Stalinowski model rządzenia zasadzał się na tym, że w teorii wszystko zależało od mas pracujących, a masy te nie miały w praktyce nic do gadania. Rządzili wybrani w ich imieniu, za nich myśleli, podejmowali decyzje i za nich spali koniaki na bankietach i spotkaniach. Zadaniem mas natomiast było wznoszenie okrzyków, klaskanie i wyrażanie bezgranicznego zachwytu i uwielbienia. Dziś o tym być nie może mowy. Pozostaje jednak pytanie: jak zapewnić ludziom wpływ na sprawowanie władzy?

Pytanie to jest na tyle aktualne, że wymyślenie do tej pory instytucji nie spełniającego zadania. Być może „Okrągły stół” coś temu zaradzi w tym sensie, że w toku dyskusji powstanie sposób na „upodmiotowienie społeczeństwa” albo „uspołecznienie władzy”. Wyciągnąć Polskę z grzęzawiska przeciętności i zastój można tylko razem, nie zważając na różnice poglądów, światopoglądów i ideologii. Mam nadzieję, że Mieczysław F. Rakowski rozumie — tak jak dawał temu wyraz w różnych przemówieniach, że zacząć trzeba od reform politycznych. Tedy bowiem prowadzi droga do obfitości na stole. Powodzenia!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Paradoks księcia di Lampedusa

Toynbee doszedł do wniosku, że o rozwoju cywilizacji decydują trzy czynniki: wyzwanie ze strony środowiska, siła twórcza elity kulturalnej i solidarność społeczna. Natomiast w momentach kryzysowych słabnie potencjał twórczy elity, spada jej autorytet i pogłębia się dezintegracja społeczeństwa.

Jaką z tego punktu widzenia mamy dziś sytuację w Polsce? Przede wszystkim niezwykle trudne wyzwanie wewnętrzne i zewnętrzne, niską efektywność intelektualną i organizacyjną elity oraz brak solidarności społecznej. Pod wieloma względami kraj jest opóźniony i zacofany, spada na ostatnie miejsca w Europie, a równocześnie nie widać ani wybitnych projektów naprawy, ani znakomitych liderów. Nawet podczas największej demokracji, którą przeżył stan wojenny, w strukturach Partii i „Solidarności” wyłoniono zdumiewająco słabe grupy kierownicze. Nasuwa się w związku z tym gorzki i ponury wniosek, że naród nasz ma takich przywódców, na jakich zasługuje. A solidarność istnieje tylko w cudzoziemcu...

Odnoszę coraz silniejsze wrażenie, że grozi nam chroniczny kryzys. Obawiam się, że teraz nie wyszliśmy jeszcze z jednego załamania, a już wchodzimy w następne. Niekiedy postrzegają całą historię Polski Ludowej jako ciąg notorycznych kryzysów. Ale można z tą pesymistyczną optyką cofnąć się jeszcze dalej. Jan Szczerbański zwraca uwagę, że uderzająco podobne zjawiska kryzysowe występowały w dwudziestolecie międzywojennym i mają swój początek jeszcze w XVII wieku. Państwo polskie nie wchodziło z kryzysu przez całe XVIII stulecie. Podjęte wówczas reformy okazały się nieskuteczne i spóźnione.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że pewne czynniki kryzysowe działały w Polsce od czasów przedrozbiorowych do dziś. Pisałem o tym kiedyś w „Polityce” i na łamach „Odgłosów” (rozszerzone wersje gawędzi książka „W kręgu religii i historii” wydana przez KAW). Na kryzysy, moim zdaniem, skazuje nas pewien kod kulturowy — coś, co działa niemal jak fatum, przetrzymując. Przeszło ćwierć wieku temu, w 1961 roku ukazała się niewielka książeczka Mariana Turwida pt. „Noc pod Doliną”. Zawiera ona kasandryczną wizję Polski. Bohater powieści przewiduje ruiny Kancelarii Rzeczypospolitej tam Niemca z Berlina Zachodniego, który wypowiada prorocze słowa:

„Przebieg wy Polacy byliście i jesteście nieodpowiedzialni jak dzieci. Albo jak szaleńcy. Nie umiecie ani rozsądnie myśleć, ani porządkować gospodarstwa, i

czynny. Wszystkie siły społeczne w Polsce powinny rozważyć słynny paradoks księcia di Lampedusa:

„Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko się musi zmienić”.

Te słowa w szczególności dedykuję ludziom trzech instytucji: Partii, „Solidarności” i Kościoła rzymskokatolickiego. Od nich bowiem, jak przypuszczam, zależeć będzie głównie bieg wydarzeń w Polsce w nadchodzących dniach, miesiącach i latach. W aktualnym kształcie wszystkie trzy organizacje utrwalają panujące złe. Poza tym każda z nich w jakimś stopniu odpowiada za istniejący stan gospodarki.

Rola Kościoła rzymskokatolickiego

Winy rządzącej Partii są oczywiste. Ale jakie grzechy ekonomiczne mógł popełnić u nas Kościół rzymskokatolicki? Otóż najlepiej wyraził to Aleksander Bocheński. W głosnej książce pt. „Rzecz o psychice narodu polskiego” czytamy: „Zadana wielka akcja mająca na celu wzmożenie gospodarki narodowej nie mogła liczyć na poparcie episkopatu i licznej dorobkowej armii duchowieństwa. Straty w zakresie zdolności mobilizacji sił, jakie to kraj ponosił, obciążają Kościół co najmniej w tym samym stopniu, w jakim polityków obciążają ich błędy” (Warszawa 1971, s. 95).

Podam tu dane bibliograficzne, ponieważ w trzecim wydaniu autor zagościł pierwotną ocenę. Uznał mianowicie, że poniesione z tego powodu przez Polskę straty „były i są poważne” (Warszawa 1986, s. 70).

Hamująca rola Kościoła katolickiego ma przede wszystkim charakter mentalny. Instytucji tej bliższe jest średniowiecze niż odrodzenie, barok niż oświecenie, romantyzm niż pozytywizm, mistycyzm niż racjonalizm. Zmysły i rozum należy wykorzystać wiarą. Przekonuje się w nich, że Matka Boska jest „dana narodowi polskiemu ku obronie”. W popularnej pieśni kościelnej zawarta jest symptomatyczna prośba: „Słuchaj, Jezus, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj — uczyni z nami cud”.

Zgodnie z powyższym wezwaniem, Polacy mniej lub bardziej liczą na cud. Zakładają, że jakoś to będzie. Kościół kształtuje nieodpowiedzialny sposób myślenia. W dodatku nie sprzyja moralności publicznej, ponieważ zbyt łatwo odpuszcza grzechy i zastępuje sumieniem.

Moim zdaniem, istniejący typ religijności stanowi ważną przeszkodę na drodze rozwoju społecznego Polski. Śmiem

W czasie swej działalności „Solidarność” zrobiła więcej złego niż dobrego. Na pytanie, czy decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego była słuszną, jesienią 1985 roku dorosła ludność Polski odpowiadała następująco: zdecydowanie tak — 26 proc., raczej tak — 23 proc., raczej nie — 12 proc., zdecydowanie nie — 3 proc., trudno powiedzieć — 26 proc. Zaufanie do „Solidarności” w podziemiu miało wówczas zaledwie 11 proc., nie miało aż 52 proc., a reszta nie miała zdania. Lech Wałęsa cieszył się zaufaniem 34 proc. Polaków. Zbigniew Bujak — 10 proc., Jacek Kuroń — zaledwie 3 procent. Tegoroczne strajki pokazały, że „Solidarność” nie ma zbyt dużego poparcia. W opinii większości organizacja ta kojarzy się z anarchią i pustymi półkami sklepowymi.

Niemniej jednak sporo inteligencji i robotników pragnie legalizacji „Solidarności”. Dlatego należy spełnić ten postulat, ale pod warunkiem respektowania prawa związkowego i zasad reformy gospodarczej. Przedłużająca się teraz walka o uznanie „Solidarności” byłaby niekorzystna dla państwa i gospodarki. Poza tym spowodowałaby wzrost autorytetu Związku popieranego przez wielu wybitnych intelektualistów i duchownych.

„Solidarność” była dawniej oskarżana o tendencje antysocjalistyczne. Później okazało się, że głoszone przez ten ruch idee ekonomiczne można pogodzić z socjalizmem. Należałoby więc dokonać powtórnej oceny i zbadać aktualne intencje działaczy. Jednocześnie związkowa formuła „Solidarności” z pewnością zniechęcałaby do organizacji graczy politycznych spoza środowiska robotniczego. Ogromna większość społeczeństwa chce stabilizacji i spokoju.

W postawach aktywistów „Solidarności” niepokoi mnie brak samokrytycyzmu. Zdumiewa też barokowa religijność i naiwny romantyzm. Związek powinien być chyba bardziej nowoczesny. Zbliżamy się wszak do końca XX wieku.

Terazniejszość i przyszłość Partii

Nie pierwszy raz w naszych dziejach potrzebujemy — jak to określił w 1982 roku Daniel Passent — solidarności bez cudzysłowu. Nie wierzę jednak, że solidarność taka czy konsensus powstanie w wyniku jakiegos porozumienia narodowego. Bardziej prawdopodobne jest to, że jakaś grupa bądź przywódca zdobędzie zaufanie i pociągnie masy za sobą. Jeszcze rok temu myślałem, że uda się odrodzić PZPR i stworzyć „kółko zamachowe” postępu spo-

Marek Drozdowski napisał o niej:

„Historia zweryfikowała wiele twierdzeń Marii Koszuskiej. Natomiast jej idee, odwaga i szlachetność ciągle blyszczą pierwszą świecością, podobnie jak idea, która spaliła kłosa dworu wciągnęła na drogę polskiego ruchu rewolucyjnego”.

Maria Koszuską wysoko cenił nawet przeciwnicy polityczni. Michał Sokolnicki (pilsudczyk) tak ją charakteryzował:

„Wera zawsze cicha, nie narzucała się, zakłaniała najważniejsze sprawy łagodnie i z prostotą, ścisła, obowiązkowa, prawie mistyczna i uduchowiona to swym spojrzeniem i swej pracy — wieczna romantyczna polska”.

Gdyby Partia była w stanie radykalnie przeobrazić się i przedstawić dobrze uzasadniony program rozwoju kraju, to nie musiałaby obawiać się żadnej opozycji. Nie jestem natomiast zwolennikiem rozszerzenia systemu trojpartijnego. System ten akceptuje zresztą większość społeczeństwa. W przededniu stanu wojennego tylko 24 proc. Polaków uważało, że powinny powstać jakieś nowe partie polityczne poza PZPR, ZSL i SD. Przeciwno temu było 71 proc. respondentów (aż 68 proc. członków „Solidarności”).

Na zakończenie pragnę podkreślić, że przede wszystkim Polska potrzebuje właściwego systemu ekonomicznego. Musi być taka organizacja pracy i taka motywacja, aby nie można było i nie opłacało się pracować źle.

Podobne do nas cechy mieli kiedyś Hiszpanie. Słynęli z wielkiej dumy, szaleńczej odwagi, fanatycznej religijności, adoracji kobiet. Wyróżniali się niezarnością życiową i pogardą do pracy. Charakter ten zderzył się później z wymogami gospodarki rynkowej. I co się stało?

„Od bezmiernej dumy Hiszpanów, od ich wygórowanego poczucia honoru — pisze historyk T. Jakubowicz — silniejsze okazały się jednak niewzruszone prawa ekonomiczne, którym w końcu uległ ten naród żołnierski i awanturników politycznych, życiowo mało zaradnych i gardzących pracą”.

EDMUND LEWANDOWSKI

NR 43 (1595), 22 PAŹDZIERNIKA 1988 R.

— Kręci się pan tu nie wiadomo po co. O co właściwie panu chodzi? My przecież dobrze widzimy, że znowu pan tu jest, że znowu pan wesz. Przecież ja już wszystko panu powiedziałam. Powiedzi mi w jakich godzinach i w jakich dniach pracujecie. Powiedzi mi, ile jest kas. Powiedzi mi, jakiego rodzaju przyjmujecie zakłady. Reszty mógł się pan dowiedzieć z programów. To powinno panu wystarczyć do napisania artykułu. Czego pan więcej chce? — Wykrzykuje do mnie Irena Klincewicz, kierowniczka Łódzkiej Ekspozytury Totalizatora Wyścigów Konnych.

— Chciałem się dowiedzieć, jak wygląda hazard z punktu widzenia ludzi organizujących totalizatora?

— Widział pan (oburzony głos), ludzie grają spokojnie, nikt nikomu nie ubliża, nikt nikogo nie zaczepia, hazard jak wszędzie.

— Gra pani czasem na wyścigach?

— Ja się nie hazarduję. Ja nie gram. Zbyt ciężko pracuję, abym miała to co zarabiam przegrywać.

— Dlaczego nie chciała pani ze mną rozmawiać? Czego się pani obawia?

— Dzieją się tu różne dziwne rzeczy. Różni ludzie przychodzą. Boję się...

— Jakie dziwne rzeczy? Jacy ludzie?

— Nie jestem od tego, żeby panu o tym opowiadać.

Któraś z kasjerek zza moich pleców daje kierownicze rade: — Takiego to najlepiej od razu za drzwi wyrzucić. Ktoś inny mówi głośno, tak bym dokładnie usłyszał: — Dać mu po łbie to się uspokoi.

— Lokatorzy skarżą się na bywalców totalizatora. Mówią, że czasem strach wejść w podwórko. Podobno macie być stąd daleko eksmitowani.

— Jeśli gospodarz i lokatorzy mogą być niezadowoleni, to nie z istnienia totalizatora i przychodzących tutaj graczy, ale z bliskiego sąsiedztwa szkoły. To dzieciaki, dzieci z tej szkoły dewastują cały ten teren. Te rozwydrzone szczeniaki, rozebrały doszczętnie wiatę służącą schronieniu się przed deszczem graczom, wybijają szyby w oknach, w ogóle niszczą wszystko.

— Co pani myśli o hazardzie?

— Każdy hazard jest zły, ale wyścigi konne to nie tylko hazard, to również hobby, to pewna rozrywka dla ludzi, jeśli kogoś stać, to dlaczego nie pojechać, żeby zobaczyć te przyjemności.

Na pozostałe pytania Irena Klincewicz nie chce odpowiadać, zastępując się swoją niekompetencją. Stwierdza jeszcze tylko, że prowadzona przez nią Ekspozytura jest bardzo zyskowna. Nie ma już więcej dla mnie czasu. Czajnia mi, że przeszkadzam jej w pracy. Jestem praktycznie wyrzucony za drzwi.

Łódzka Ekspozytura Totalizatora Wyścigów Konnych ma swoją siedzibę przy Piotrkowskiej 84.

I choć jest to samo centrum miasta niewielu łódzian wie, że w głębi podwórka znajdującego się dokładnie naprzeciwko Łódzkiej Ekspozytury Dziecka jest barak, w którym w dni wyścigowe to znaczy w: środy, soboty i niedziele można się trochę pobawić, zagrać, zwinąć zakłady i wyniki gonitw na torze słusiewickim.

Przychodzą tu przeżyłem małe zaniepokojenie. Nie spodziewałem się takiego widoku. Nie ma tu nic z tego, ku i urody, dawniej elegancji minionej epoki dam i ulanów. Brudne podwórko, jedna konura. Kilka kanałów, masywnych ławek. Kilka drzew. Trochę luzu. Jakiegoś przedziwnego i porzuconego wnętrza. Walające się po ziemi bilety po przegranych zakładach i opadłe z drzew liście.

Jeden ze starych bywalców powiedział mi: — Nie tylko pan się dziwi obywateli tego podwórka. Przecież przy takich dochodach, jakie oni tutaj mają, totalizator powinien wystawić przepiękne budynki, a nie tak ponure baraki. Powinno być tu jakiś bar. Powinno być lepsze nagłośnienie, a może nawet po-

winna być zapewniona ciągła transmisja z przebiegu gonitw w Warszawie, a nie tak jak teraz podają tylko jej wynik. Na Służewcu przynajmniej widać piękno konia. Konia są śliczne, zadbane, wyszczotkowane, a jak biegną to czasami są tak wyciągnięte, że aż brzuchami toru dotykają. To jest naprawdę wspaniale. W czasie gonitwy każdy zaciska nogi w kolanach, spręża się, krzyczy, żeby temu swojemu koniowi jakoś pomóc. A w Łodzi, w tym brudnym grajdole, czyż nie ma coś mówić o pięknie wyścigów konnych. Tutaj jest tylko czysty hazard. Hazard dla hazardistów.

W dni wyścigowe przychodzi tu przeciętnie około stu osób. Są to przeważnie starsi panowie, emeryci i renciści, pokastujący i podpierający się laskami. Przychodzą tu w odświętnych ubraniach, tych sztych bardzo solidnie, z bardzo solidnych tkanin, po których widać że się trzymają doskonale już dwudziesty sezon. To co ich tu przyciąga to nie tylko hazard, to również nuda. To ucieczka z domu w świat ludzi, którzy grają w przegrane. Podniecenie oczekiwania na zwycięstwo typowanego konia staje się w pewnym momencie jak każdy inny nałóg usprawiedliwieniem samym w sobie.

— Mądrzy to w ogóle na wyścigach nie grają. Bo jak zacznie się już tym interesować, gdy zacznie grać, to będzie już ciągle pchał w to szmalce. Zależy jeszcze, jak przyjmiesz pierwsze porażki, które przedziej czy później muszą przyjąć. Zakładam, że początkowo będziesz grał nisko, ale jak zacznieś ostro to szybko przegrasz, a potem to już będziesz tu przychodził, tak jak ja, tylko po to, żeby się odegrać. Nie, nie po to, żeby wygrać tylko po to, żeby choć trochę z puli wyciągnąć co do tej pory w niej utopiłeś.

Nie trzeba znać się na koniach, żeby wygrać czterysta tysięcy złotych.

Dreszczyk igrania z fortuną

JAROSŁAW DĄBROWSKI

Chwilami może się zdawać, że zbierając się tu towarzystwo to Klub Niespokojnej Starości.

Starość nerwowo uciekającej przed niedobrymi myślami. Klub ludzi zabijających czas i przeżywających chwile uniesień, ekscytacji i podniecenia. Jedynego podniecenia, jakie może im być dane, gdy kobiety, chociaż wciąż żyjące pośród nich, przestały być już dla nich mężczyzną źródłem erotycznej fascynacji.

Przychodzi też tu trochę drobnych pilaczków, takich pomocników, którzy bardzo chętnie poradzą jak masz grać, co nie znaczy, że pomogą wygrać. Takich pomocników jest tu bardzo dużo. Oni przeważnie dużo piją i starają się grać nie za swoje pieniądze. Pomagają więc. Mają fantastyczne rozumienie człowieka i dużą umiejętność odpowiedniego podejścia. Zdarza się, że taki pomocnik kilku osobom po a różne możliwości typowania. Wiele jest w danej gonitwie bieżnie sześć koni, a na „porządek” jest tylko piętnaście możliwości (zakład porządkowy polega na wytypowaniu koni, które jako dwa pierwsze miały celownik) i jeśli każdemu z pięciu zaprzeczonych facetów pomagacz sprzeda po trzy typy to praktycznie całą gonitwę ma obstawioną, i on wygrać musi, w dodatku nie za swoje pieniądze.

Gdybyś kiedyś chciał zagrać nie korzystając z pomocy pomagierów. Sam się zastanów, po co facet, który wie na pewno, jaka będzie kolejność na mecie, miałby przywieźć do ciebie, to jest logiczne chyba, no nie? Natomiast przyjdzie do ciebie taki oszust, może źle powiedziałem oszust, taki dobry człowiek, któremu tylko się wydaje, jaki będzie wynik gonitwy — a jak będzie naprawdę to się dopiero okaże po gonitwie.

Temperaturę gry podnosi bezsprzecznie możliwość przeprowadzenia wcześniejszej analizy szans, porównanie siły i u-

miejętności zawodników, studiowanie ciągów poprzednich wyścigów i wysnuwanie stąd horoskopów, co do przyszłych wyników gonitw. Bywa i tak, że zakładający się nie mają danych, na których można oprzeć obliczenie szans wygranej — wtedy wystarczy byle pretekst, na przykład maść konia, jego imię lub jego „szczęśliwy” numer startowy.

Większość stara się doszukać prawdy wyścigowej w programie i typach gazetowych.

Bywalcy dobrze wiedzą, że wybierając się na wyścigi trzeba mieć z sobą typy publikowane przez: „Express Wieczorny”, „Życie Warszawy”, „Kurier Polski”. Inni z kolei mają specjalne kartoteki prowadzone od początku kariery danego konia. Czasem takie głębokie studia nad typami i tabelami prowadzą do kasy wypląt, zwykle jednak prowadzą do przegranej. Jeden z działów nowoczesnej matematyki zwany „teorią gier” rozwiązuje ten problem następująco: jeśli mamy do czynienia z dwoma graczami, z których jeden dysponuje ograniczonym kapitałem a drugi nieograniczonym, i ciągłą wolą gry (np. totalizator), to gracz z ograniczonym kapitałem ma szansę wygrać początkowo pewną sumę zanim zostanie zupełnie ograny, ta anty hazardo-

wa wskazówka nazwana została w teorii gier „problemem ruin gracza”.

— Ja bardzo często korzystam z pomocy prasy. Autorytet i prestiż takiego redaktora zależy w końcu od trafności jego typów — w końcu jego praca właśnie na tym polega, żeby być bardzo dobrze zorientowanym.

— No i jak panu idzie? Wygrywa pan?

— Przyszanuję się, że różnie bywa. Dziś już przegrałem trzy tysiące.

— A panu jak idzie?

— Raz w miesiącu dostaję od żony tysiąc złotych i gram tak długo jak mi starczy pieniędzy. Dziś jestem jeszcze do przodu.

— A panu jak się wiedzie?

— No ja to raczej jestem wygrany. Dwa tygodnie temu wygrałem ponad czterysta tysięcy.

— To chyba bardzo dobrze zna się pan na koniach?

— Panie, gdybym znał się na koniach, to bym tyle nie wygrał. Ot podobają mi się nazwa konia, postawiłem i o dziwo wygrałem. Im bardziej człowiek zna się na koniach, tym więcej

przegrywa — bo tym bardziej się upiera i utwierdza w swojej pewności, że tak a nie inaczej być powinno, a w tej grze nie ma pewników, dlatego nigdy naprawdę nie wiadomo, kiedy postawić większą sumę na daną gonitwę. Jeśli ktoś postawi mało i trafi, wtedy widać gości łapiących się za rękaw i krzyżujących: „Bracie miale, miale, miale” ten typ, że też ja taki głupi! „Yiem i nie zagrałem za dziesięć tysięcy złotych”. Spróbuj w następnej gonitwie, bo jest tak samo pewien, no i przegrywa — tak bywa najczęściej. Najwięcej zaś wygrywa ten, który trafi tak zwanego fuksa, wtedy wszyscy wokół są rozgoryczeni. Ludzie klną niesamowicie — no i mi właśnie takiego fuksa udało się trafić. Taka wygrana dodaje skrzydeł, dostaje się takiego strasznego przekonania o swoim powodzeniu, o swoim geniuszu. To zwykle nie trwa długo, zwykle już następna gonitwa leczy cię z tego, ale ta chwila zwycięskiego powodzenia jest naprawdę warta przegrywania.

— Ale czasem ludzie przegrywają?

— Tak, oczywiście, że przegrywają. Czasem też dochodzi do tragedii. Są tacy, po których nigdy pan by nie przypuszczał, że mają pieniądze, a grają naprawdę wysoko setkami tysięcy. Spokojniutko sobie obsta-

zajądź zarabia, na każdej gonitwie zyskuje, na żadnej nie traci, swój podatek zawsze ściąganie, więc co go może obchodzić, jakie będą wyniki. Do tej firmy nie ma się o co przyczepić. Grający zaś to zupełnie inna strona całej tej zabawy. Jestem przekonany i mogę nawet twierdzić, że tam gdzie w grę wchodzi ludzie i duże pieniądze, tam nie może być mowy o uczciwości. Dlatego sądzę, że ci, których widać na totalizatorowym podwórku, składają się na wygrane tych, którzy grają „mądrze”.

— Są w Łodzi jeszcze tacy zwani bukmacherzy, ale o nich niewiele mogę powiedzieć. Mają swoje siedziby po kawiarniach. Nigdy nie miałem takiej go-tówki, żeby byli mną zainteresowani, żeby chcieli ze mną rozmawiać. Taki bukmacher potrzebuje, żebyś mu postawił na gonitwę dziesięć tysięcy, a nie jakieś tam marne sto czy też dwieście złotych.

— Dużo wie pan o tym środowisku. Długo gra pan na wyścigach?

— Od dziesiętnastu lat praktycznie trzy razy w tygodniu jestem na wyścigach. Zaraził mnie tym kumpel z pracy, który już wcześniej trochę grywał. To on pokazał mi, jak się czyta program wyścigów, pokazał mi gazety, w których można szukać typów. Wtedy zakłady były jeszcze po dwadzieścia złotych, a nie jak teraz po sto-twie. Obstałem pierwsze dwie gonitwy, no i oczywiście przegrałem. W trzeciej, pamiętam to doskonale, sięgnąłem po typy z „Expressu Wieczornego” i wziąłem typ pierwszego konia i on przyszedł jako pierwszy — ale jeszcze porządku nie trafilam. Myślałem sobie wtedy, cholera, w takim razie będę brał pierwszego konia z gazety i do niego grał wszystkimi pozostałymi koniami. Biegło siedem koni. Kupiłem więc bilety za sto dwadzieścia złotych. Trafiliem. Za porządek płacił ponad sześćset złotych — na tamte czasy, to było bardzo dużo. Procedurę powtórzyłem ponownie i znowu wygrałem, tym razem tysiąc czterysta złotych. Potem już przestawałem, ale tak to się właśnie zaczęło dla mnie.

— Jaką radę dałby pan naszym Czytelnikom, którzy chcieliby spróbować grać na wyścigach?

— Po pierwsze — nie grać. Otarć się o szansę nagłego wzbogacenia, uzyskanie pewnej sumy nie w wyniku pracy, daje podniecie zbliżone nie-lędy do narkotyku. Jest to uwalnianie gier hazardowych może wywołać w następstwie przegranej nawet depresję i załamania. Nie mówię już o licznych rozbitych rodzinach. Jednak nie wierzę, żeby do wszystkich to przemawiało. Dlatego tym, którzy mimo wszystko chcieliby pobawić się na wyścigach, dajmy taką radę: by narzucając sobie pewien autorytet zaangazowania gotówkowego w grę, wzięli jedną z gazet, ostatnio najlepiej typuje „Życie Warszawy” i grali z małą progresją.

W pierwszej gonitwie jest jakiś typ, zagraj go za sto złotych, jeśli przegrałeś, w drugiej gonitwie graj za dwieście złotych, jeśli ponownie przegrałeś, w trzeciej gonitwie graj za trzy-sta złotych i tak dalej. I co się dzieje? bardzo dobrze jak przegrasz w pierwszej gonitwie, bardzo dobrze jak przegrasz w drugiej i trzeciej gonitwie, i bardzo dobrze jak w czwartej wreszcie trafisz — bo grasz już cztery razy tę samą możliwosc. Wyplata prawie na owo no-kryje dotychczasowe przegrane z lekką nawiązką. No i ponownie zaczynasz od setki postępu-jac w myśli powyższej reguły. Będziesz miał świetną zabawę. Jak widzisz, jeśli na sześć razy wygrasz dwa razy, to nie przegrasz — prawda? Tylko to wymaga konsekwencji. W tej zabawie zawsze ktoś musi przegrać, problem polega na tym, że jeśli przegrasz w niej udział, to rób to tak, żeby jak najmniej przegrywać — co przy zastosowaniu nawet tak bezpiecznego systemu, jaki poda-tem, jest możliwe.

— Nie widziałem tutaj takich, którzy graliby tak wysoko, zagraj go za sto złotych, jeśli przegrałeś, w drugiej gonitwie graj za dwieście złotych, jeśli ponownie przegrałeś, w trzeciej gonitwie graj za trzy-sta złotych i tak dalej.

— Bo ich tutaj nie ma. Ci wszyscy ludzie, których pan widział na totalizatorowym podwórku nie utrzymaliby tej ekspozytury. Po pobliskich knajpach są zupełnie inne układy i inne zakłady. Spotykają się tam ludzie, którzy mają grubszą forszę i oni wcale na podwórku nie przychodzą. Pani kasjerka dostanie karteczkę z typami i ona ma obowiązek to obstawić, będzie wygrana, to trzeba ją oddać za jakiś wdzięcznościowy ułamek, a będzie przegrana to do kasy wpłacić musi, bo zbyt dużo ryzykuje. To wszystko można załatwić na telefon i tak jest załatwiane. To wszystko odbywa się niewidzialnie i bezszereśnie.

— Do tego wszystkiego dochodzą ci, którzy grają „mądrze”, to jest tacy, którzy mają pośredni lub bezpośredni wpływ na przebieg gonitwy i chcą na tym parę groszy zarobić. Wolą się oni nie pokazywać w Warszawie, po co kłuć ludzi w oczach — i oni też po cichutku telefonicznie ułatwiają swoje sprawy z kasjerkami w Łodzi. Zrobię w tym miejscu taki mały wtręt na temat samego totalizatora. Totalizator to bardzo solidna, państwowa firma. Totalizator nie jest zainteresowany w ustawianiu wyników gonitw. Od jego strony nie ma żadnych oszustw. Ustalony jest procent, jaki na każdym



Foto: Grzegorz Gałasiński

ki ustala się z góry tzw. wielkości bazowe, ważne przy obliczaniu podatku od wydatków ponadnormalnych wynagrodzeń. W tłumaczeniu na język efektów znaczy to, że spółka startuje od razu z wyższymi zarobkami, dużo nieraz wyższymi od wypłacanych w firmach, będących udziałowcami spółki.

Złotliwi twierdzą, że wobec słabości rynku kapitałowego w Polsce, jest to najważniejsza zachęta do tworzenia spółek z udziałem przedsiębiorstw uspołecznionych.

Dyrektor Wesolowski miał jednak nadzieję, że skorzystają również pracownicy, zatrudnieni w mniej zabagnionych dziedzinach, którzy nie zostaną „wchłonięci” przez spółki, lecz pozostaną w macierzystym przedsiębiorstwie. Uważał, iż PGKIM, uwolnione częściowo od deficytu, zdola stopniowo wypracować wyższe płace. Były to — jak przekonamy się później — nadzieje na wzrost, uzasadnione zapewne, ale po dłuższym okresie. Stanowczo za długim, jak na ludzką cierpliwość.

PREZES MA DYŻUR PRZY PIECU

Jako pierwsze, rozpoczęły od 1 kwietnia 1987 r. działalność „Ars” i „Cis”, spółki dwóch udziałowców: PGKIM, które ze swej strony przekazało sprzęt trwałego użytku i budynki, oraz łódzkiej firmy „Pro-kon”, która sama jest prywatną spółką. Łódzianie wiozli do spółki własne pieniądze, niewielkie zresztą. Początek był więcej niż skromny.

Wydzierżawiony autobus pogrzebowy i lokal z wyposażeniem — oto cały majątek trwały „Arsu”. „Cis” znalazł się w posiadaniu 11-letniego „Zuka”, jednej kosiarki, szklarki wymagającej remontu i budynku administracyjnego z kotłownią. Został również na miejscu 4 portierów, 4 panie z biur, 2 kierowców, co razem przewyższało liczbę osób zatrudnionych w produkcji (kwiatów i warzyw) oraz w usługach.

Jak w takim razie wywiązywano się odzad z obowiązków na rzecz zieleni w mieście — tego Zbigniew Adamczyk, prezes „Cisu”, nie stara się nawet odgadnąć. Dyrektor Wesolowski podaje za to, że na pierwsze półrocze 1987 r. planowano deficyt zakładu zieleni w wysokości 2,3 mln zł.

Po utworzeniu spółki, deficyt znikł jak kamfora.

— Nadrabialiśmy wydajnością — wspomina prezes — Zwolniliśmy na początek 2 portierów, pracownicy umysłowi (łącznie ze mną) pełnią dyżury palaczy. Bieremy się wszyscy za roboty niespecjalistyczne.

Rezultat: do końca 1987 roku „Cis” przyniósł więcej niż 3 mln zł dochodu. Wydajność skończyła prawie dwukrotnie. Ludzi do pracy przybyło, bo średnie zarobki osiągnęły w „Cisie” kwotę 50 tys. zł miesięcznie.

W tym samym czasie, gdy w „Cisie” cleszono się z wysokimi zarobkami, doszło w PGKIM do „buntu” konserwatorów sieci wodno-kanalizacyjnej. Skutek był taki, że konserwatorzy pozostali wprawdzie przy swoich zajęciach, ale od sierpnia 1987 r. wykonują je pod szyldem spółki „Wod-kan”. Nie słychać odzadu, żeby wzniecali bunt.

Udziałowcami „Wod-kanu” oprócz macierzystego przedsiębiorstwa, zostały również dwie osoby prywatne, wśród nich — były szef PGKIM, poprzednik dyrektora Wesolowskiego. Nie pozostało to bez echa, skoro po roku następny z kolei naczelny uzna, że trzeba ten fakt skomentować: — Jeśli dyrektor Wesolowski twierdzi, że wydobyl przedsiębiorstwo z takiego bagna, jakże mógł dopuścić do spółki swego poprzednika?

W miarę upływu czasu, coraz więcej posunął dyrektora Wesolowskiego wywoływać będzie echa. Nie tylko w przedsiębiorstwie.

Nie wybiegamy jednak zanadto do przodu. Na razie wszystko układa się wspaniale. Wszystki — oprócz nastrojów tej części załogi, która miała nieść cięższe zatrudnienie w mniej zabagnionych dziedzinach gospodarki komunalnej, albo w takich, które ze swej natury muszą pozostać w PGKIM.

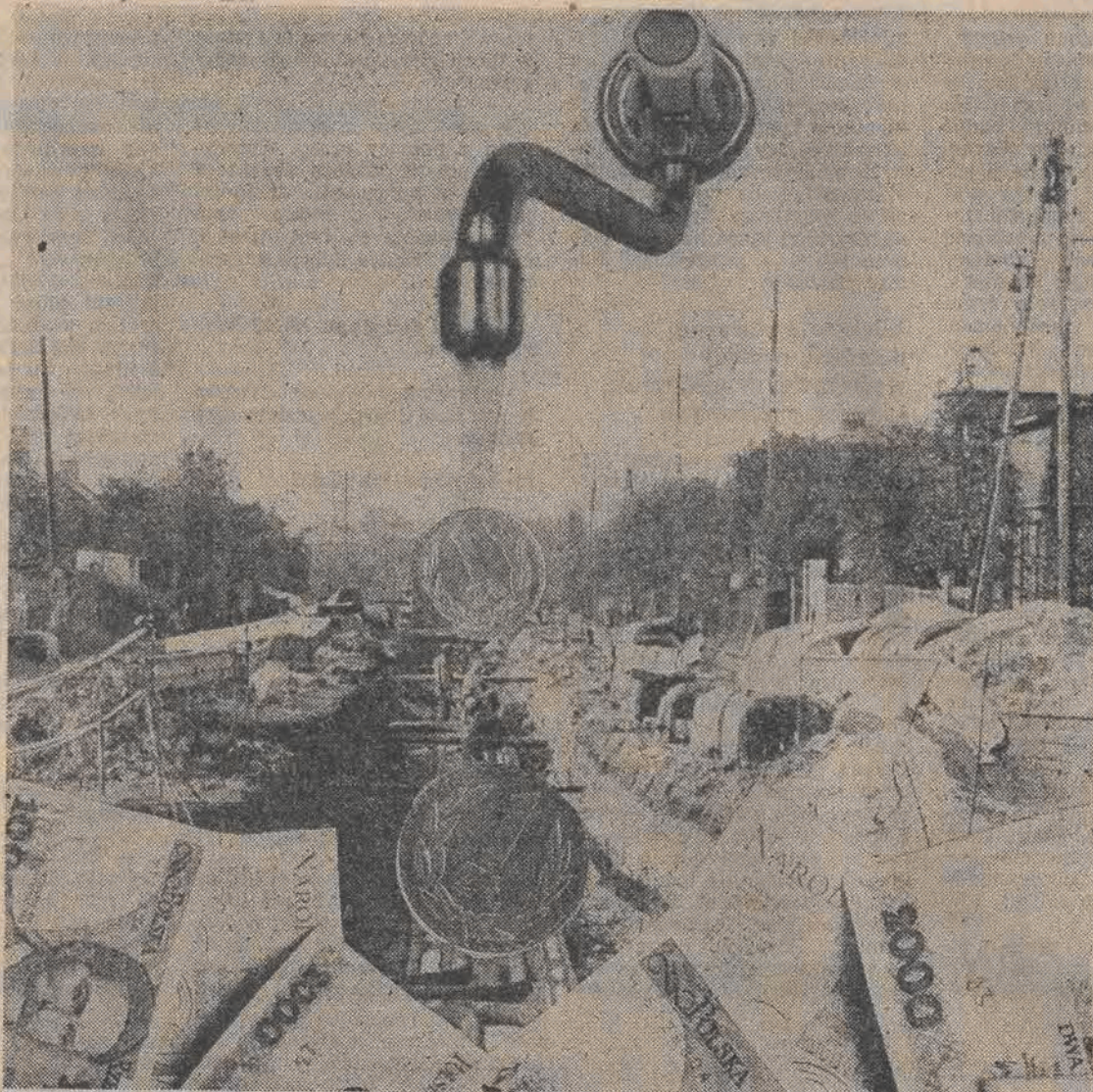
Rychoło powstają następne spółki. „Apol”, mający w swej piecy oczyszczalnie ścieków, ma już 3 udziałowców poza PGKIM i prezydentem miasta, także Instytut Warzywnictwa. Z inicjatywy prezydenta Skierniewic zostaje też powołana Agencja Budowlana Skier-Max, gdzie PGKIM jest jednym z 4 udziałowców.

Pomysł ze spółkami poprawił kondycję finansową PGKIM do tego stopnia, że rok 1987 zamknął się zyskiem w wysokości 13 mln zł, a więc sporym, jak na branżę z reguły deficytową. Na poprawę nie miały jeszcze wpływu zyski, wypracowane przez spółki (było na to o wiele za wcześnie), lecz fakt, iż przedsiębiorstwo uwolniło się w dużej mierze od „wszystkoizmu”.

W tej sytuacji wydawało się, że pozycja dyrektora jest niepodważalna. Nie uwzględnił on jednak w swych planach dwóch bardzo ważnych czynników. Po pierwsze — ludzką niedocierpiwość o wyższe zarobki, rosnące szybciej, niż możliwości finansowe, podtrzymane przez wieści o tym, ile zarabia się w spółkach. Po drugie — dyrektor nie zadbał o dobre stosunki z władzą, bo za bardzo przejął się reformą.

WARIACKIE TEMPO DYREKTORSKIEJ PRACY

Władza to w przypadku PGKIM znaczy: Urząd Miasta, który jest głównym zleceniodawcą przedsiębiorstwa. Dyrektor Wesolowski twierdzi, iż wobec szczupłości skierniewickiej kasy, Urząd lekceważył ustawicznie regulowanie należności PGKIM. Bywały takie okresy, gdy przeterminowane ponad miesiąc należności sięgały kwoty 60 mln zł, przy rocznych zobowiązaniach rzędu 400 mln zł! Zdarzyło się nawet, że zabrakło z tego powodu środków na olej napędowy, potrzebny komunikacji miejskiej i dla wywozu śmieci. Często też były problemy z „ubezpieczeniem” pieniędzy na wypłatę wynagrodzeń. „Dodatkowym smaczkiem” nazywa dyrektor Wesolowski fakt, że przez więcej niż pół roku przedsiębiorstwo nie mogło się doпросić ostatecznego zatwierdzenia planu za 1987 rok, co stanęło na przeszkodzie w uzyskaniu na



Collage: Grzegorz Galasiński

Kto jest katem na spółki?

czas kredytu bankowego. Urząd Miasta — wspomina dyrektor — zgodził się na plan dopiero na polecenie Urzędu Wojewódzkiego, do którego PGKIM odwołał się o pomoc.

Na opieszałość Urzędu narzekał również prezes „Cisu”:

— Gdyby nie to, że władze miasta są naszym głównym i przymusowym zleceniodawcą, zastalibyśmy już o wiele dalej niż jesteśmy.

Powyższe opinie można dziś przytoczyć bez obawy o konsekwencje w stosunku do prezesa i dyrektora. Tak się złożyło, że obaj pracują w zupełnie innym miejscu, lecz niezupełnie z własnej woli.

Wspominane odwołanie do Urzędu Wojewódzkiego i kilka wystąpień na sesjach Miejskiej Rady Narodowej, było główną przyczyną akcji Pana Prezydenta przeciwko mnie — uważa dyrektor Wesolowski. Możliwe — zaznacza — iż „górze” nie spodobało się również karne naliczanie odsetek za opóźnienia Urzędu w należnościach. Poprzedni dyrektor tego wszak nie czynił.

Co zaś się tyczy dyrektorskich wystąpień, daje o nich pojęcie inne przemówienie, wygłoszone z okazji 30-lecia przedsiębiorstwa, w obecności władz miasta. Oto fragment:

— Władze miasta traktują nas w sposób niewłaściwy. Wielka to dla nas uroczystość, bo nie obchodziliśmy ani 10-lecia, ani 20-lecia, ani żadnej innej rocznicy. Kilkanastce zatrudnionych od początku osób miało otrzymać odznaczenia państwowe. Na długo przedtem wystąpiliśmy z propozycjami nazwisk. Kilka odrzucono. Na pozostałe wyrażono zgodę. Dzień uroczystości odłożyliśmy wielokrotnie, bo nie było odznaczeń. Dziś miały być już na pewno, i nie ma...

To, co były dyrektor PGKIM nazywa „akcją”, było po prostu kontrolą, skierowaną przez prezydenta do zarządu przedsiębiorstwa. Kontrola przyszła z „nastawieniem” na spółki. Dostała się jednak szewciowi całosci. Zarzut pierwszy: nie rozliczone wyjazdy w „teren”, odbyte w godzinach pracy, a także wieczorem. Ponieważ nie wystawiono delegacji, zostały one uznane za prywatne.

Zakwestionowano m.in. około 20 wyjazdów do Warszawy i Łodzi. Było to w czasie, gdy dyrektor i prezes w jednej osobie podjął się (społecznie) zorganizowania dwóch poważnych imprez międzynarodowych w gronie esperantystów: konferencji nauczycieli w Łodzi, oraz Światowego Kongresu Esperantystów — w stolicy. Zdarzyło się również 3 razy, że wracał późno służbowym samochodem do Łodzi w której mieszkał, gdyż uciekł mu sprzed nosa ostatni pociąg. Działo się tak z powodu pasji, której poświęcał w biurze sporo czasu, nieraz do nocy: samodzielnie przygotowywał i wdrażał programy komputerowe, przydatne w działalności przedsiębiorstwa.

— Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że szczególnie w 1987 r. narzuciłem sobie wariackie tempo pracy. Gdy załatwiałem rano sprawy służbowe w Łodzi, gnałem samochodem do Skierniewic, aby być tam możliwie wcześniej, a mogłem — jeśli załatwianie tych spraw przeciągnęłoby się przy korzystaniu z komunikacji miejskiej do 10. — nie jechać w tym dniu wcale, bo między 9.50 i 11.50 nie ma żadnego pociągu i ponadto w sezonie robót torowych pociągi lokalne miały duże opóźnienia lub w ogóle były odwoływane. W to pan prezydent nie jest w stanie uwierzyć.

WYSTRZAŁ Z NAJWIĘKSZEJ ARMATY

Drugi zarzut kontroli dotyczył złamania zasady, iż pieniądze wygosparowanych przez likwidację zbędnych stanowisk nie wolno rozdzielać pomiędzy pracowników umysłowych, przejmujących przez to nowe obowiązki. Wbrew temu dyrektor ogłosił, że 80 procent wynagro-

rozpoczęła się wojna nerwów. W wojnie tej dyrektor sięgnął bardzo szybko po najcięższy arsenał: 12 stycznia wszyscy kierownicy otrzymali wypowiedzenia. Nie wiadomo, czy celowo postąpił tak lekkomyślnie, mając dość szarpaniny z władzą, pragnąc przyspieszyć w ten sposób własną dymisję. On sam jest zdania, że postąpił uczciwie, ponieważ nie dysponował pieniędzmi, które mogłyby przeznaczyć na podwyżki. Pracownicy — uważa — muszą się liczyć z finansami przedsiębiorstwa, bo inaczej pozostaje już tylko kiepska polityka.

Władze miasta nie były tak twarde. Widmo pozbawionych komunikacji Skierniewic nie zdążyło się do końca zmaterializować, a już musiało się rozwiać. 14 stycznia kierowcom anulowano wypowiedzenia, zaś dyrektor Wesolowski przestał być dyrektorem.

ZNÓW PRZY ZIEŁONYM SUKNIE

Nie jest dziś tak istotne, czy rzeczywiście — jak uważa były dyrektor PGKIM — była wtedy szansa polubownego załatwienia sporu. Nie chodzi też o to, czy prezydent postąpił właściwie, obiecując kierowcom podwyżkę płac bez porozumienia z dyrektorem, co zmusiło go do złożenia rezygnacji. Pewnie prezydent nie mógł postąpić inaczej. O wiele poważniejszy jest zarzut, iż była to kolejna ingerencja Urzędu w wewnętrzne sprawy przedsiębiorstwa. Zarzut z kierowcami stał się kroplą, co przepełniła dzban. W środku krył się spór zasadniczy: na ile można być niezależnym, kierując ważnym dla miasta przedsiębiorstwem? Na ile niezależne mogą być spółki, kierujące się (w teorii) zasadą maksymalizacji zysku?

Marianna Turska, prezes Pro-Konu, firmy udziałowca „Arsu” i „Cisu”, wyraża się w tej kwestii jasno:

— Władze nie rozumieją samej istoty spółek. Patrzą na nas podejrliwie, bo pewien rodzaj działalności wyknął im się spod bezpośredniego sterowania. Prezydent może być tylko jednym z kontrahentów, o ile proponuje zlecenie, które jest korzystne. Nie działamy charytatywnie ani nie jesteśmy powołani wyłącznie na potrzeby miasta, bo Urząd nie ma żadnego, nawet symbolicznego udziału.

Zupełnie inaczej patrzy na to Henryk Bugulski, prezes „Apolu”, jedynej spośród powołanych przez dyrektora Wesolowskiego spółek, która chwali sobie współpracę z władzami i z nowym dyrektorem PGKIM:

— Wyznaje zasadę, że nasza rola jest służebna wobec miasta. Onegdaj było tak, że Wod-Kan przedstawił oczyszczenie studzienek na mieście, co przeszkodziło nam w pracy. Zaprezentowaliśmy, a w odpowiedzi otrzymaliśmy z Wod-Kanu pismo informujące, że — jako samodzielna spółka — nie przyjmujemy na siebie zobowiązań wobec innych podmiotów gospodarczych, o ile nie wynikały one z umowy. Taki sposób myślenia jest zgubny!

Poglądy prezesa „Cisu”, Zbigniewa Adamczyka, już poznaliśmy. Nie różnią się one zbyt wiele od poglądów dyrektora Wesolowskiego. Nie można się więc dziwić, że z chwili, gdy dyrektor odszedł, prezes poczuł się zagrożony. Nie ukrywał tego:

— Dyrektor Wesolowski był oddany spółkom, przejmował się ich kłopotami. Stanowił dla nas „parasol ochronny”. Teraz, gdy odszedł, czuję się jak na walcach...

Poczucie to nie było bezpodstawne, co stanie się w pełni jasne, gdy przytoczymy słowa, wypowiedziane przez Andrzeja Michalaka, obecnego dyrektora PGKIM:

— Mówię o mnie, że jestem katem na spółki. To nieprawda. Ja nie torpedowałem „Cisu”. Ja torpedowałem prezesa „Cisu”. Chciałem mieć kogoś z uchem w Skierniewicach, a nie takiego, co słucha dyspozycji z Łodzi.

Wzmianka o Łodzi jest aluzją do osoby dyrektora Wesolowskiego, który — choć odszedł ze Skierniewic — pozostał nadal przewodniczącym rady nadzorczej 4 spółek. Spółki — co ciekawe — przedłużyły mu wpływy w Skierniewicach.

Zdaniem dyrektora Michalaka, proces „ręgowania” ekipy poprzednika jest prawie zakończony. Rzeczywiście: zastępca byłego szefa machnął ręką, założył sobie prywatny zakład. Główna księgowa złożyła „wymówienie”, podobnie jak główna ekonomistka i kadrowa. Przedostatni był prezes „Cisu” (miesiąc temu odszedł do innej firmy) a ostatnim będzie zapewne sam Włodzisław Wesolowski, przewodniczący (co-rzecz bardziej formalnie) rad nadzorczych.

Dyrektor Michalak twierdzi, że nie jest katem na spółki. Musi być tylko inaczej „ustawić”, bo ich pierwszym obowiązkiem jest służyć miastu. Dyrektor Michalak ma całkiem odmienne poglądy od poprzednika:

— Większość spraw załatwia się lepiej przy zielonym suknie niż przy wołaniu o pomoc prasy.

Inne są też poglądy nowego dyrektora na płace:

— Ludziom się daje podwyżki po równo, a nie jednemu więcej, drugiemu mniej. Wtedy jest spokój.

Mimo wszystko, nie należy stąd wyciągać wniosków, że dyrektor Michalak utrzyma się dłużej od poprzednika. Poprzednik dyrektora Wesolowskiego też miał silne poparcie w władzach. Nie przewidział, że także na „górze” co pewien czas następują zmiany.

Pracownicy PGKIM wciąż narzekają na płace, lecz dyrektor Michalak powtarza nieoficjalnie, że nie powiedział jeszcze w tej kwestii ostatniego słowa. Były dyrektor Wesolowski jest obecnie prezesem łódzkiej spółki. Tak jak poprzednio, wiele czasu spędza przy komputerze.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W

ieś o ucieczce Mikolajczyka. Po prostu zrobił teściowej na złość i tyle.

Jak mu kiedyś kto mówił co złego o swojej matce albo teściowej, tłumaczył spokojnie: — Bo ty nie umiesz się dogadać.

Nie wierzył. Zawsze przecież można jakoś dojść do zgody. Potem okazało się, że sam nie potrafi. Chciał się dowiedzieć, co to za kobieta. Ale nie dała rady. Może gdyby był aniołem? A i to, kto wie. Bo na ludzką zawist i złość nie ma sposobu.

Zaczęło się z niczego, z jakiegoś głupstwa chyba. Kobieta przed jej powie, bo chłop to połowy nie widzi. Nie ma tego rozmysłu, nie ma czasu. Na autobus do Plocka wychodził o piątej rano, wracał — pięta po południu, zjadł i — znów do roboty. Przy budowie, prywatnie dorobił, sąsiadom pomógł. Toż nawet nie było kiedy, żeby co na złość zrobić albo dokuć. Zresztą — po co? Żona

PAWEŁ
TOMASZEWSKI (3)

Wycug

jedna u matki, dzieciom babcia potrzebna, a i jak człowiek spracowany, to lubi w domu spokój. A już broni Boże, żeby do bicia się brał. Własnej matce nie śmiałyby potem spojrzeć w oczy. Tak go wychowała, że sam nieraz o mało co by nie dostał, jak zdarzyło się powiedzieć coś nie tak. Ale to matka i miała prawo. A on. Dopóki to się nie zaczęło, zawsze ze wszystkimi żył w zgodzie. Każdy może potwierdzić. No to dlaczego nagle miałyby się zniecać nad teściową?

Później, faktycznie, może i w nerwach coś czasem powiedział, ale słowa nie użył. A teściowa potrafiła odczytać się do wnuczki:

— Odejdź, boś ty taka sama kurwa, jak twoja matka.

To czy mógł o niej dobrze myśleć? A jak milicję ciągle o byle co nasyłała, sąsiadów judziła, przy dzieciach zwalała, wszczyniała awantury...? Tak, że w kwietniu urządzili z żoną podanie zanieść do urzędu, żeby ją wymeldowali, bo już dłużej nie są prosto wytrzymać. A napisali, tylko szczerą prawdę napisali: teściowa od września tamtego roku w Raciążu u Chmielewskich siedzi. Do domu przychodziła raz na tydzień, albo dwa, kłótnie robiła i znów szła. Jak by szczerze chciała mieszkać, to by przecież mieszkała. Nikt jej nie wzbraniał. Pokój jak miała, tak ma. Przy zamku w drzwach. Przed kim? Ale widać, nie chciała. Nawet firanek nie powiesiła. No to jak?

Decezia była, że nie. Trudno. Skoro ma zostać, niech zostanie. Tylko że spokoju dafie nie ma. Rada w radę napisali więc do prokuratora. Może on rozstrzygnie. A gdzie tam! Nawet wysłuchał do końca nie chciał. — Dzieci się nabrdoło — mówi — i dla matki nie ma już miejsca, co?

Całkiem jak teściowa, bo też im nie raz wyomniła, że bahorów, siubrów w domu trzymają.

To co, lepiej żeby w domu dziecka były? Tam by wychowały? A że po bracie, to też chyba dobrze, bo zawsze w rodzinie. Druga by się cieszyła, domu trzymała, córce przy wnuczkach pomagała. To całkiem zima w Raciążu siedziała i ołow kochanie bawila. Jak to wzięła? Prosto ludzi wstyd! Andrzej Nowakowski, asesor w Prokuraturze Rejonowej w Płocku, dobrze pamięta sprawę Mikolajczyków. Zna ją przede wszystkim — przyznaje — z relacji Dzięgielewskiej. Gdy się z nią rozmawia, przynajmniej wiadomo, o co chodzi. Podkreśla natomiast, że Elżbieta i Stanisław Mikolajczykowie są psychicznie chorzy. Nie wierzy, aby matka mogła zniecać się nad córką i zięciem. Zawsze bywa odwrotnie, to dlaczego w tym przypadku ma-

łoby być inaczej? A że uciek! Po prostu zrobił teściowej na złość i tyle.

Z akt wynika, że prokuratora dwukrotnie badała sprawę Mikolajczyków. Pierwszy raz — na ich wniosek, w czerwcu. Drugi — na wniosek posterunka MO w Raciążu, w lipcu 1988 roku. W obydwu przypadkach czynności wyjaśniające nie doprowadziły do ujawnienia dowodów jakiegokolwiek przestępstwa, zaś „rozpytywane na powyższy temat osoby stronnie oświadczyły, że nie widziały żadnych awantur pomiędzy Jadwigą Dzięgielewską a Mikolajczycami. O awanturach i nieporozumieniach wiedzą tylko z opowiadań Jadwigi Dzięgielewskiej”.

W tej sytuacji Prokuratura Rejonowa w Płocku odmówiła wszczęcia postępowania tak przeciwko jednej, jak i drugiej stronie konfliktu, prosząc o jego rozstrzygnięcie Społeczną Komisję Pojednawczą przy naczelniku miasta i gminy Raciąż.

Dwukrotne wysiłki komisji zmierzające do pogodzenia zwaśnionej rodziny speliły na niczym.

Przyjechała raz do domu, w lipcu to było, a córka stoi przed drzwiami, ręce za sobą trzyma i pralkę jej z łazienki zabiera. Dlaczego, nie wiedziała, ale mówi:

— To weź i wystaw. Obie weźmiemy i wystawimy na górę.

— Ale córka swoje:

— Zabierać pralkę — i ręce z siebie wyciąga, w czarnych rekawiczkach.

— Elunia, co ty robisz? — ona na to i Boga westchnieniem wyzywa, bo czuje, że coś złego zaraz się stanie. I tak było: córka pcha do łazienki, gdzie ta pralka stoi. W tych rekawiczkach. Zaczęła krzyczeć, bo może kto w domu jest. To córka jej usta zakrywa, za włosy szarpie i dalej pcha. A w łazience — patrzy — pełna wanna wody. Uszykowana już zawczasu. Nic, tylko żeby ją utopił. Zaczęły się szamotać. Córka do wanny ciągnie, ona rekawiczki jej ściga. Złapała się przegu, trzyma. To ta jej głowę do wody... Przewróciły się.

— Moja głowa! — krzyknęła z bólu. A córka:

— O Jezul

Jak tylko stółgowała, chwyciła się ubrania córki i tak z posadki przycepiła do niej podniósł. Wybiegła na dwór z krzykiem, płaczem, na rowle usiadła. Tam znalazła ją Kalmanka, do siebie wzięła, opatrzyła, zawiadomiła posterunek.

Od tej pory — powiedziała sobie — sama do domu już nie pójdzie. Chyba że z milicją, bo strach. Jak ją raz pozabawili życia, chciała, to i drugi raz może. A na dowód obdukcję zrobiła — w Płocku, u całkiem obcego lekarza. Przyda się w sądzie.

Zastępca naczelnika miasta i gminy Raciąż, Ryszard Giszczak dopiero po chwili kojarzy: a, to ci, co matki nie chcą upuścić do domu. Coś tam słyszeli. Szczegółów jednak nie zna. Trudna sprawa. Zresztą nie jedna taka w okolicy. Ludzie kłóca się teraz o byle co. Szczególnie środowisko...

Pytam, czy wie może coś o nekaniu Elżbiety Mikolajczyk przez sąsiadów po wyjeździe męża. Niestety, nie, ale uważa, to możliwe. Na wstę do się zdaje.

Po dłuższej rozmowie Ryszard Giszczak przyznaje, że niezależnie od tego, kto zwinął, najbardziej zagrożone są dzieci i byłoby niedobrze, gdyby rodzina Mikolajczyków miała się rozpaść, a i do tego przecież może dojść.

Jak sprawa była w Płocku, powiedział kiedyś:

— Najlepiej, gdyby pan prokurator przyjechał do nas na Półkę i sam się przekonał, jak jest. Choćby zaraz. Oplacam taryfę w obie strony.

Innym znów razem:

— Panie prokuratorze, toż może zrobić konfrontację między nami, żebyśmy sobie w oczy powiedzieli, a pan rozsądzi po czyjej stronie racja. Bo kto by kłamał, to mu przecież głos zadry.

— Ale i na to prokurator od-

mówił. Dopiero po tej awanturze z kuchnią... Ale wtedy to była prokuratorka. Zgodziła się: będzie konfrontacja w piątek o dziesiątej rano. Dobrze.

Zajeżdżają w piątek do Płocka: żona, najstarsza córka, on i jego matka z Plocka, bo też dużo widziała i mogła powiedzieć. Ale widzą — w korytarzu pusto. To on do gabinetu wszedł i mówi:

— No, my już jesteśmy, tylko że teściowej nie ma. Może zawiadomienia nie dostała?

— Nie szkodzi. Teściowa była już wcześniej.

— Jak to wcześniej? — zdziwił się, bo bez teściowej to żadna przecież konfrontacja, ale nie, usiedli. To znaczy, żona, matka i on, a córka w korytarzu została.

— Co pani wie w sprawie? — zapytała matkę prokuratora. To matka powiedziała, ale krótko, bo prokuratorka — że o tym już wie, i też jej kazano wyjść i dopiero mówi, że teściowa była w czwartek — doniesie o pobiciu jej przez córkę.

Jak to żona usłyszała, zaraz tabletki wyjęła z torby i całą garść w tym gabinecie do twarży... Nie mogła wytrzymać już z nerwów, że tak matka ją skazuje. A on powiedział tylko:

— To znaczy, że teściowa poszła na swoim. Drugi raz będzie na mnie, bo już jest na pewno nowa zasadzka uszykowana. Muszę ją chyba znowu i dzieci zostawić i iść precz. Innej rady nie ma.

To samo powtórzył później na posterunku w Raciążu:

— Teściowa znowu przyjdzie, awanturę zrobi, was wezwie, żem ją pobili, a wy mnie zamkniecie, tak? To ja od razu jadę z matką do Plocka.

I pojechał. Ale na drugi dzień wrócił jeszcze. Z autobusu w Raciążu wysiedli, a tu milicjant wola:

— Dobrze, że pana wczoraj na Półkach nie było, bo już ja bym panu pokazał!

Nogi się pod nim ugięły — nic, tylko coś się w domu stało. Haczyk jakiś na niego, widać, był przygotowany.

W domu — żona cała podrapana, głowa posiniaczona, płacze, dzieci płaczą, że uspokoić nie idzie.

— Jezus Maria, co się stało?

Uspokoili się w końcu wszystkie, a żona mówi, jak było.

Tego samego dnia spakował najpotrzebniejsze rzeczy i — byle dalej. Najpierw z matką z powrotem do Plocka, a potem — do ciotki Teresy do Łodzi.

Z domu Mikolajczyków wyjeżdżającym z mieszanym uczuciami. Myślał o nieszczęściu, jakie wszystkich tam spotkało. Tak: wszystkich. Najbardziej jednak ścisłał serce obraz zgnajanych ojca dzieci. Prosiły, błagały, żeby zabrał je do siebie razem z mamusią. Najlepiej od razu. I nawet dziadek, Józef Mikolajczyk ukradkiem ocierał łzy.

Póki razem mieszkali pod strzechą, jakoś było. Chociaż matka już wtedy nie bardzo lubiła zięcia. A to, że z takiej rodziny, a to, że ślepy, bo w okularach chodzi... Nie raz ją buntowała — że za mało przy niej robi, w kuchni nie pomaga, albo — żeby zamiast jemu, sobie co ładniejszego kupila. Chłopek nie warto się przejmować. Nie ten, to będzie inny. Ona jej znalazła lepszego.

Jak by nie mogła patrzeć, że im tam ze sobą dobrze.

Jakiego losu dla niej chciała? Sama rozszła się z mężem nie długo po ślubie. Dziecko, co razem mieli, zmarło w niemowlęctwie. Potem ją miała. Z kim — do dzisiaj nie wie. Jak się dopytywała, bo ludzie różnie o tym gadali, matka odpowiadała, że skoro sama była, to jakoś musiała się postarać. Albo — że tatuś wyjechał, inną ma... Tylko tyle.

Wychowywały ją razem z babcią. Babcią dobrą była, gotowała obiady, przytuliła... Na całe życie zapamiętała jej słowa, że matka trzeba szanować. Zapamiętała i uszanowała —

jak jest. Raz lepiej, raz gorzej, ale zawsze w zgodzie żył. Nigdy specjalnie na niego nie narzekała. To po co matce było kłaść ten palec między drzwi?

Zamieszkali w nowym, wzięli Jankowe dzieci — zaczęli się żale. Najpierw, że z pieniędzy chcieli ją ograbić. Potem, że pokój zamienili. Tłumaczyła:

— Mamusiu, w tym od północy też ci będzie dobrze, a przez dzieci nie trzeba przechodzić. Będzieś miała spokój.

Nie było sposobu. Uparta się i już. A przed komisją w urzędzie, co ich pogodzić chcieli, to powiedziała nawet, żeby jej dali dwa.

Potem — o to ogrzewanie. Opowiadała, że jej specjalnie na zimę kaloryfer odcieł i przez to musiała do ludzi iść. Nieprawda! Odcieł dopiero na wiosnę, przed samą Wielkanocą, bo awaria była, zapowiedzieli się, czy coś, a zawory jak raz — u niej w pokoju. Czekali — matki nie ma, u Chmielewskich w Raciążu, a trzy zamki w drzwiach, klucze sama trzyma, im nie dała. To co mieli zrobić? Musiał mąż rury odcieć, bo by w całym domu nie grzało.

Zresztą czego to matka ludziom nie naopowiadała. Mabe jej wyrzucili, zamek popuścił, do domu nie wpuszczali, żalowali wody, ognia w piecu, jedzenia... A dla matki zawsze obiad był. To, co dla wszystkich. A że miesa nie chciała jej na talerz włożyć... Mówiła przecież:

— Mamusia weźmie sama ile chce, żeby nie było, że mamusi wydzielał.

W umywalce nogi myła — wysoko, niewygłodała, jeszcze się urwie... Pokazała — wody do wanny trzeba napeścić, wykapać się, a nie chlapać po podłodze. Nowa obraza — żaluj wody! I tak w kółko, o tyle co.

Od kurew, od ladaćnic ją wyzywała. A ona nie wiedziała nawet, co to ta ladaćnica, dopiero męża musiała spytać. Bo i skąd miała wiedzieć? Po siedmiu klasach na wsi? Co innego matka — w mleczarni pracowała, na meliorację jeździła, z nieżyczliwymi... Teraz też przed jej, sładniej się wygada, to i przez to jej więcej wierza.

— Ale co to za matka? Żeby sąsiadów przeciw córce nastawiać. Po twarży bić. Bo biła — w ten dzień, co u prokuratora miała się odbyć ta konfrontacja. Matki tam nie było. Ale przychodził potem do domu i tak pyta:

— No i co, nie wygrałaś?!

I z pięściami do niej. A ona wtenczas, bo przy łazience stała:

— Jak mamusia ma siłę do bicia, to proszę zabrać mi stąd swoją pralkę!

Nie jej ta pralka nie przeszkadzała, ale tak się w nerwach powiedziało. Obie były zdenerwowane. Ale to matka ze złości się na nią rzuciła, podrapała ją, bluzkę porwała, po podłodze wytarzała... No, ona matkę też, bo musiała się przeciw niej milicji podać. Zgodnie z prawdą. A te rekawiczki, to matka prosto sobie wymyśliła, bo nawet wełne nie ma takich. Tylko że ludzie, choć nikt nie widział, znowu uwierzyli i teraz żyć jej nie dają. Chyba że mężem musi uciekać. I jak ma znaleźć mieszkanie, zostawi wszystko i pójdzie z dziećmi. Bo tu, na Półkach życia dla nich już nie ma.

Dwadzieścia lat temu jedna z sąsiadek publicznie obraziła Jadwigę Dzięgielewską, używając wulgarnych słów. Ta wniosła pozew o zniesławienie i sprawę w sądzie wygrała. Sąsiadka obiecała jej wówczas, że kiedyś doprowadzi do tego, że jeszcze z własną córką będzie się procesować. Dziś są przyjacielkami. Ludzie powiadają jednak, że obietnicy dotrzymała.



Mówi: Karol Obidniak

— Twoja sztuka pt. „Z nieba na ziemię” została wyróżniona drugą (pierwszej nie przyznano) nagrodą na Ogólnopolskim Konkursie Otwartym poświęconym 70-leciu odzyskania niepodległości. Oprócz gratulacji ode mnie osobiście i od redakcji chcę cię zapytać o twoją drogę do literatury. Jaka była? Jak ją oceniasz dziś, po tylu latach doświadczenia?

— Po pierwsze, ja wcale nie chciałem trafić do literatury i tego co napisałem wcale za literaturę nie uważam. Po prostu chciałem brać udział w życiu społecznym, zawsze tego pragnąłem, a kiedy doszedłem do przekonania, że właśnie teatr jest tym wielkim konfesonalem, do którego przychodzi ludzkie nie tylko po to, aby uwolnić się od swoich obsesji, od psychicznych zahamowań, ale i po to, by zbliżyć się do innych, zastanawiać się nad ich losami, a ponieważ jako aktor nie mogłem mówić tego co czuję, co myślę, ostrzegając przed złudzeniami, zacząłem pisać.

— Twoje życie, Karolu, było tak ciekawe, że starczyłoby na parę scenariuszy i na parę powieści. Czy jesteś z niego zadowolony?

— Rzeczywiście, życie miałem ciekawe, barwne, pełne przygód. Robiłem co chciałem. Na długo przed wojną marzyłem, o wojnie, a kiedy wybuchła wstąpiłem ochotniczo do wojska. Czynami na polu bitwy chciałem wtargnąć do historii. Przeliżyłem się i poza brawurą ucieczką z niewoli, niczego godnego zapisu nie dokonałem. Koniec wojny zastał mnie w stopniu plutonowego podchorążego bez odznaczeń. Był to widomy znak, że dalej tą drogą na karty historii nie trafię. Postanowiłem więc zmienić zawód, zostać aktorem. Oczywiście wielkim. Dla tak ambitnych planów potrzebowałem jeszcze ambitniejszych motywacji. Znalazłem je, ale do dziś nie mogę pojąć jak ja, młodzieniec głupi jak przysłowiony buł — i co tu mówić — niedouczony, o niczym poza nawigacją nie mający pojęcia, dokonał wyboru w sposób tak racjonalny.

— Byłeś młody i dlatego zapewne zadurzyłeś się od razu w dwóch paniach o wdzięcznych imionach: Melpomena i Talia.

— Na postawione sobie pytanie: kim jest aktor? odpowiedziałem, moim zdaniem bezbłędnie: „Jest to człowiek, który sobą pokazuje innych”, a ponieważ potrafił nawet analfabeta, uznałem, iż przy moim stanie wiedzy jest to atut poważny. Gorzej poszło mi z uwnioszeniem tej suchej kanonicznej definicji, ale zastanawiając się nad przyczynami wojen, doszedłem do wniosku, że dzieje się tak dlatego, bo ludzie zamiast podkreślać to co ich łączy, co czyni ich podobnymi do innych, uwidnialią przede wszystkim to, co ich wyróżnia, dzieli, wywyższa. Stąd już tylko krok do uczucia wrogości i pogardy. Z czasem, w miarę dojrzenia zauważyłem, że są myśli, których się wstydzę, a zdarzały mi się i takie, których się brzydziłem.

— Dobrze, dobrze, ale kiedy ostatecznie dokonałeś wyboru zawodu, w jaki sposób?

— Pewnego razu będąc w teatrze zobaczyłem, że to, czego się wstydzę, co przed innymi, a nawet przed sobą staram się ukryć, przeżywa aktor na scenie. I pamiętałem, odczułem wielką ulgę, a więc on też! Przez niego, przez tego aktora poczułem się bliższy widzowi obok, bliższy wszystkim ludziom. Przeżyłem sam, nie umiając tego nazwać, katharsis. Od tego czasu teatr był dla mnie świątynią, gdzie jak w kościele można było dostąpić oczyszczenia przez spowiedź. Zbliżał ludzi przez ukazanie im podobieństwa. Po tym dawno odkrytym odkryciu, cennym, bo odkrytym przeze mnie, samodzielnie wybrałem się na egzamin do Royal Academy of Dramatic Art w Londynie. Zdałem śpiewając, to znaczy płacząc, monolog, jakie wybrałem, miały taki bardziej oczyszczający charakter.

— Po powrocie do Polski także musiałeś zdawać egzamin do szkoły aktorskiej. Jego przebieg mógłby stać się znakomitą anegdotą, gdyby nie był prawdą i tylko prawdą.

— Byłem aktorem utalentowanym i pomyśleń dlatego nie przywiązywałem do tego wagi. Chciałem zbawić ludzi, oczyszczać, zbliżyć do siebie. A już najlepiej swoich, w kraju. Powróciłem tedy w 1947 r. do Polski. W Krakowie powiedziano mi: jeśli chcesz pracować w teatrze, musisz się nauczyć aktorstwa po polsku. Co miałem robić? Stałem do egzaminu w Państwowej Szkole Aktorskiej. Po wygłoszeniu monologu z „Hamleta” po angielsku, Władysław Woźnik, wybitny aktor i pedagog, krzyknął podenerwowany: Tu się zdaje po polsku! Ale ja po polsku niczego nie umiem. To niech się pan pomodli! Pomodliłem się i zostałem przyjęty. Myślę, że jestem jedynym w PRL, który został przyjęty na studia po odmówieniu Ojciec nasz...

— W jakimś jednak momencie zrozumiałeś, że teatr, mam na myśli aktorstwo, już ci nie wystarcza. Zaczęłeś pisać: zostałeś dramaturgiem i autorem powieści...

— Granie na scenie mi nie wystarczało. Swoją pierwszą sztukę zacząłem pisać już w szkole. Jest to „Soisek”, sztuka, która do dziś dnia nie miała swojej premiery.

— Pomówmy teraz o tej nagrodzonej na ogólnopolskim konkursie, która zyskała tak wielkie uznanie u jurorów...

— „Z nieba na ziemię” napisałem 24 lata temu. Tak, tak, prawie ćwierć wieku temu! Największym zaskoczeniem dla mnie jest fakt, że po tylu latach jest ona na tyle aktualna, że można ją było nagrodzić. Oczywiście, mam satysfakcję z tego powodu, ale i żal, że tyle lat musiała leżeć w szufladzie. A jaka byłaby rewelacja wówczas, kiedy ją napisałem!

— Oprócz zainteresowań teatrem i literaturą, czym jeszcze się pasjonujesz?

- Historia.
- Jako calość?
- Historię II Rzeczypospolitej i najnowsza.
- Zadaję teraz pytanie, na które sporo mężczyzn woli nie odpowiadać. Jesteś dziadkiem?
- Tak, mam dziewięćcioletnią wnuczkę Wiktorie.
- Co odziedziczyła po dziadkach aktorach?
- Ma pasję do rysunków i posiada absolutny słuch.
- Czy chciałbyś ją widzieć na scenie? Powiedzmy jako wykonawczynię głównej roli w jednej z twoich sztuk?
- Przed teatrem uchroniłem córkę, myślę, że obronię przed nią także wnuczkę. Przecież w teatrze trzeba grać wbrew sobie, niemal katować się, kiedy cały jestem przeciw, do tekstu, do reżysera, a nieraz i pełen wrogości wobec kreowanej rzeczywistości, ale musisz grać. I to jest najgorsze. Aktorstwo — to piękny zawód, ale...
- Co zatem robi aktor i pisarz na emeryturze?
- Pisze.
- Konkretnie?
- Porządkuję to, co napisałem wówczas, kiedy nie miałem na piśmie czasu.
- Dziękuję za rozmowę i jeszcze raz gratuluję sukcesu.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Odchodzenie od świata

Zwyczajny czas w sośnowym seku wybuchu nagle ognistym bólem — klaskają suche płomienie sekund, iskrami tryska igliwie gorzkie —

pod tą sośną kłamać nie możesz — nie ma przeszłości przyszłości nocy — tylko słowa, które widział Mojżesz: Jam jest — którym jest KRZEW GOREJĄCY

Pachnące dymy wędrownych ognisk tlenionej krwi gorzące znicze płaczący się — nie pytając o nic, prosto w księżyc — nie związani z niczym...

GŁOSNE KSIĄŻKI

W Kolonii ukazała się niedawno książka Otto Friedricha pt. „Markt der schoenen Luegen. Die Geschichte Hollywoods in seiner grossen Zeit” (Targowisko pięknych kłamstw. Historia Hollywoodu w jego wielkiej epoce).

W roku 1893 Thomas Alva Edison utrwalił na taśmie kichnięcie swego asystenta Freda Otta. Nikt — nawet sam wynalazca — nie przypuszczał, że w tym momencie narodziła się jedna z technik masowego przekazu. Niewielki odstęp czasu dzielił ten zapis o narodzin kinematografii amerykańskiej. Lat trzydziście, a zwłaszcza czterdzieste to punkt kulminacyjny rozwoju amerykańskiego przemysłu filmowego, który w krótkim czasie stał się olbrzymim konglomeratem mitów i rzeczywistości. W swej książce „Targowisko pięknych kłamstw” (tytuł utworu pochodzi od poematu Bertolda Brechta) Otto Friedrich przeplata anegdoty z legendami, marzenia z koszmarami, lecz co najważniejsze podejmuje próbę ukazania świata hollywoodzkiego w rzeczywistym świetle.

Inną, równie interesującą pozycją, jaka ukazała się ostatnio na zachodniomiejemskim rynku wydawniczym są wspomnienia Jean Anouilha (Jean Anouilh: „Das Leben ist unerheert”) — „Życie jest niebawale?”. Wybitny dramaturg francuski swoje wspomnienia zaczyna od ostatnich klas szkolnych, kończy zaś w roku 1944, kiedy wyzwoleny został Paryż, a młody dramaturg omal nie został rozstrzelany jako podejrzany o kolaborację. O swoich przeżyciach w dniach wyzwolenia pisze Anouilh dość sarkastycznie. W tym samym tonie utrzymane są jego notatki o karierze dramaturga — autora sztuk należących do najczęściej granych na deskach scenicznych.

W Wydawnictwie Morsow ukazała się licząca 735 stron praca Alana Briena pt. „Lenin”. Książka jest literackim portretem W.I. Lenina, napisanym w formie osobistego dziennika twórcy państwa radzieckiego. Opis wydarzeń przeplatany jest licznymi cytatami z pism i wypowiedzi Lenina, zawierających nawet ironiczne akcenty wobec własnej powierzchowności oraz znajomych osób, w tym również kobiet.

EDWARD KOLBUS I ANDRZEJ STRĄK — czyli prawdziwy koniec Nowej Fali? Właściwie — koniec przekornej jeszcze przechowywanego w repertuarze strategii lat 80. etycznego przestąpienia „mówienia wprost”. Warto by się zastanowić, jakie mechanizmy (z uwzględnieniem sytuacji, kiedy konwencje literackie zmieniają się w sposób „skokowy” nie poddając się krytycznoliterackim próbom problematyzacji) powodują, że mimo wszelkich rewizji nowofalowej dykcji poetyckiej, mimo szkoły „nowej

tulny fragment wiersza „Miedzy wierszami — II”: „odszedł poeta / dyżurny obywatel / ten od ósmego piętra / i jednego przyszanego”, bowiem owa gorzka konstatacja zakreśla możliwości dzisiejszych działań poetyckich (znowu działań ubocznych).

Z syndromu Marcuse’a: rewolty plus seks element pierwszy zawarł poeta „miedzy wierszami”, znaczną zaś część utworów zerotyzował w niejednoznacznej zresztą, ambiwalentnej strategii lirycznej, gdyż seks

miemy kochać jak trzeba”. Być może zamknął się jakiś krąg kulturowy i poezja — mimo wszelkie pozorne oddalenie — zaczyna znowu dochodzić do swoich „buntowniczych” korzeni.

Inaczej ANDRZEJ STRĄK. To poeta „dzieckiem podszty” ironicznie sprowadzający wszystkie „dorosłe” i wielce ważne sprawy do dziecięcego pokoju nie tyle z zabawkami, ile z ksiązkami. STRĄK jest uważnym czytelnikiem „Alicji w krainie czarów” i można też znaleźć w jego tomiku ślady Carrollowego „złogizowanego absurdu”. Wdychając „wiatr historii” przez zakatarzony nos (a zatem z przytłumionym wężchem) może się poeta znaleźć w sytuacji „złe ustawione” przebranego. Nie podejmuje przeto rozgrywki z rzeczywistością wprost — kamufluje ją dziecięcą przypowieścią, zrewidowaną baśnią lub (w wielu wierszach) wyraźnie parodiowaną „gadanią” tzw. literatury dla dzieci i młodzieży. Jego poetyckie alter ego — Sejmur — zredukowane jest do kilku cech: zdziwienia, naiwności i dziecięcej przekory. Nie jest ów bohater Panem Myśle (jest Panem Nikt), bliższy jest też w swym rodowodzie kulturowym Panu Piórko niż Panu Głowie. Ironia STRĄKA i jego gry literackie mogą mylić a przeto irytować krytyków. Swego czasu JAN MARX był zdagustowany faktem, że Sejmur słusza do ziewu. Niech słusza na zdrowie, byle poezja była czysta (czytaj — interesująca).

HENRYK PUSTKOWSKI

Edward Kolbus — Temat zastępczy, Iskry, Warszawa 1986 r., s. 108, cena 50 zł.

Andrzej Strąk — Węch, WŁ Łódź 1988 r., s. 130, cena 180 zł.

Co poeci lubią

prywatności”, okres lat 70. jawi się nam jako wyraźny układ odniesienia wnoszący wartości realizowane w sposób „poronny”, niepełny, postulujący poetykę jednowymiarową (retoryczność, apeliwność, publicystyczność tej poezji), ale z 15-letniej perspektywy czasowej również jako okres poetyckiej „dojrzałości” polegającej na próbach wprowadzenia nowej poetyki „czynu” równoważnej z wiara, że literatura mogła spełniać funkcję interwencyjną w rozregulowanych mechanizmach życia społecznego. Być może oczekiwano na powtórne objawienie się poezji „gorącej” powodują, że często też krytyka wraca do tamtych lat i są to sentymentalne podróże w czasie.

Tymczasem kibicujący nowofalowym poczynaniom — starający literacko z pozycji outsiderów — Edward Kolbus od początku zaznaczył swoje zdystansowanie a może i niewiarę w skuteczność panującej wówczas postawy poetyckiej. Świadcza o tym już same tytuły zbiorów: „Działanie uboczne” (1979), „Miedzy innymi” (1982) oraz tom recenzowany — „Temat zastępczy”. Dookreślił za chwilę, na czym polega „zastępczość” owego tematu, ale pierwsi zacy-

(a szerzej — erotyka) jest właśnie owym tematem zastępczym. Mówiąc krócej — eros jest ponadczasową domeną działań poetyckich (i pozapoetyckich) nie pozbawioną manipulacyjnych mechanizmów, ale stwarzających jakąś szansę utrwalenia swej podmiotowości. Można dziś kochać milion kobiet — nie da się kochać (i cierpieć) „za miliony”. Patrzy przeto poeta na świat z przekornej i odwrótej pozycji (por. „Na pannie, pod panną”), a będzie tak czynił dalej, bowiem w druku jest tom następny pod tytułem przywołanym tytułem. Ujawnia — co prawda — niekiedy nasz poeta sentymenty wskazujące, iż nie wytracił do końca doświadczeń lat „burzy i naporu” (wiersze: „Mój przyjaciel”, „Morfologia”, „Pamięci Marka Hłaski”), ale leitmotywem tomu jest erotyka bezpruderyjna, śmiała, acz nie pozbawiona kulturowych czy filozoficznych odniesień („Salome”). Właściwie zamiast skróconego referatu z nowego „Światła obrazu” E. KOLBUSA można by zacytować motto patronizujące tomikowi a przejęte od Andrzeja Bursy: „Gdzież nam myśleć o miłości ojczyzny / My nawet jednej kobiety / nie u-

Najpierw miał miejsce eksperyment. Na majowym kiermaszu, zorganizowanym na Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, pojawiło się 80 kaset z „Dawidem i Sandy” oraz „Jasem Pawłem II”. Wideokasy firmowane przez stołeczną „Interpress-Film” rozszły się w okamgnieniu. Od sierpnia 33 tytułów znalazło się w 8 placówkach „Domu Książki” — w „Eurece”, „Muzycznej”, „Pod Górami” oraz w Sieradzu, Piotrkowie Trybunalskim i Bełchatowie. Łódzianie za-

nach pudełkach. Plastikowe producent proponuje w cenie 1200 zł. co dla dyrektora „Domu Książki” było z kolei nie do przyjęcia. Wideokasy i tak są wyjątkowo drogie. Samo nagranie na taśmę klienta — w ramach dodatkowych usług — zostało wycenione na 10—11 tys. zł.

W zapowiedziach spółki ITI na październik znajdują się m.in. Jan Pietrzak w programie „Panie kontrolerze”, Wojciech Młynarski w „Równy swoje”, filmy fabularne „Wielki skok” (3 części) prod.

Wideokasy w... księgarniach

czeli handlować kaseta po pierwszych próbach, jakie podjęły „Domy Książki” w Poznaniu i Warszawie. W ciągu miesiąca sprzedano 600 sztuk. Już po kilku tygodniach rynek zdominowały nagrania Przedsiębiorstwa Zagranicznego w Polsce ITI. W ich dotychczasowej ofercie znalazły się recitale piosenkarzy, programy kabaretowe, przedstawienia teatralne i bajki, nie tylko dla dzieci. Obok „Kabaretu Tadeusza Drodzy” królują nieśmiertelny benefit Zenona Łaskowika „Z tyłu sklepu”. Dla smakoszy obscenów jest „Freda dla dorosłych” z Zofia Czerwińska, Tadeuszem Płacińskim i Zdzisławem Łeńskim. To przeniesienie spektaklu teatru „Syrus” w Warszawie. Do młodzieżowej działy adresowane jest „110 minut w świecie bajek” (4 części).

Kasety sprzedawane w tekturowych, koszar-

Hongkongu. „W pałacu czasu” japoński, wysemitowane przez telewizję w Kinie Nocnym. Z pozycji instruktażowych na półkach znajdzie się „Kuchnia chińska”.

W wytypowanych księgarniach pojawia się niedrogi kaset japoński, czyste 2-godzinne, po 11,5 tys. zł. dostarczane przez... „Dom Książki” w Poznaniu, który jest udziałowcem w spółce o kapitale mieszanym. „Polskie Nagrania” zapowiedziały dostawę kas 120-minutowych po 10 tys. zł i 180-minutowych po 12 tys. zł. Będą konkurencją dla sprzedawanych w pawilonach „Domaru” videokaset „Panasonic” — przynajmniej cenowo!

KUP.

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

NOHANT, CZYLI SKĄD MY TO ZNAMY?

Miłośników przeszłości i tych wszystkich, którym leży na sercu zachowanie dziedzictwa kulturalnego i zabytków historycznych w możliwie nietkniętym stanie ogarnięto zaniedbaniem w związku z rozwałkami wstępnymi projektami przekształcenia dawnej posiadłości George Sand, w Nohant, w „Europejski ośrodek romantyzmu”. Istnieją cztery wersje tego projektu, którego celem jest stworzenie w Nohant stałego ośrodka, gdzie odbywałyby się różne, o rodzaju imprez kulturalnych, nawiązujące do okresu romantyzmu w sztuce europejskiej, do dorobku artystów z różnych dziedzin twórczych w tamtej epoce. Dlatego też konieczne byłoby zbudowanie odpowiednich pomieszczeń: sali wystawowej oraz widowiskowej, gdzie mogłyby się odbywać spektakle teatralne, koncerty, spotkania i dyskusje.

Czy rzeczywiście Nohant potrzebny jest taki ośrodek? Jego obrońcy podkreślają, że miejsce to nie potrzebuje dodatkowego rozgłosu. Do Nohant nadal ściągają artyści z całego świata, m.in. właśnie dlatego, że nie się tu d lat nie zmienia. Tymczasem nie widzi się, że zarówno sam park, jak i dwór w Nohant

wymagają pilnie prac renowacyjnych. W obrębie posiadłości znajduje się również bardzo zniszczony „Pawilon Flauberta”, gdzie pisarz często pracował podczas pobytów w Nohant. Podobnie można by w większym stopniu zaznaczyć obecność Chopina w tym domu, gromadząc w pokoju, który zajmował, przedmioty i dokumenty niegdyś do niego należące. Atelier, gdzie pracował Delacroix, zamieniono w pomieszczenie dla stróża.

Pęd do rzerabiania i „unowocześniania” najcenniejszych zespołów zabytkowych we Francji widac na każdym kroku. Tymczasem wiele zabytków ginie bezpowrotnie, ponieważ zabrakło wyobraźni i pieniędzy.

KŁOPOTY LUWRU

Od ponad miesiąca piramida Pei góruje nad wielkim dziedzińcem Luwru. Choć prace nie zostały jeszcze zakończone — urządzanie podziemnego centrum turysty — męgo potrwa do grudnia — już teraz szkło-aluminiowy kołos sprawia pierwsze kłopoty użytkownikom. Okazało się bowiem, że zanieczyszczona atmosfera Paryża niezbyt służy nowoczesnej konstrukcji. Unoszące się w powietrzu zanieczyszczenia szybko przysysały blask szkła i aluminium, co znacznie przytłu-

milo zachwyty, jakie pierwotnie towarzyszyły budowli architekta wietnamskiego pochodzenia — leoha Minga Pei. Na pomoc wezwano więc grupę alpinistów, którzy szybko i sprawnie umyli piramidę.

Kłopoty te nie zakłócają spokoju twórcy piramidy, który nie ukrywa, że jest dumny z osiągniętego efektu, zaznaczając, że podobna konstrukcja mogłaby zaprojektować tylko w Francji, gdzie tak często tradycja towarzyszy nowoczesności, czego przykładem są też kolumny Burena w Palais-Royal.

SKĄD PRZYBYLI HUNNOWIE?

Hunnowie, którzy odegrali ogromną rolę w dziejach Europy na przełomie ery antycznej i średniowiecza, należą do mało jeszcze poznanych ludów. W V w. n.e. opanowali większą część kontynentu europejskiego — spowodowali Wielką Wędrówkę Ludów, przyczynili się do upadku Imperium Rzymskiego.

Do niedawna uczeni nie byli zgodni, gdzie znajdowały się pierwotne siedziby Hunnów. Wiedza o nich przysłała oni ze stępów środkowoeuropejskich. Ostatnie badania archeologiczne, historyczne i lingwistyczne rzucają nowe światło na pochodzenie tych ko-

zowników. Stare kroniki chińskie mówią o plemionach Siunów zamieszkujących północną Mandżurię, stepy bałkańskie i wschodniomongolskie. Plemiona te zaczęły się jednoczyć i — w miarę wzrostu swej potęgi — podbić sąsiednie ludy. Przesuwały się one na zachód i okresowo stwarzały zwiżek międzyplemienny nad górnym Irtysem i Jenisiejem. Siunowie byli przodkami Hunnów. Wchłonęli oni różne plemiona i zapożyczyli wiele składników ich kultur. Spowodował upadek Scytów, od których przejęli niektóre elementy cywilizacji stepowych koczowniców, — e stepów nad Wołgą i Donem — Siunowie, którzy przekształcili się w Hunnów, ruszyli na Europę.

PIERWSZE DRUKI

W Dusznikach Zdroju mieści się licznie odwiedzane Muzeum Papiernictwa, które liczy już sobie 20 lat. Muzeum posiada wiele unikatowych eksponatów. Obejrzeć tu można m.in. rękopis Tamilski na liściach bambusowych przywieziony do Europy przez Marco Polo, a także pierwsze polskie banknoty z okresu Insurrekcji Kościuszkowskiej oraz pierwszy polski druk z drukarni krakowskiej Jana Hallera z 1506 roku.



Rys. Sławomir Łuczyński

— Jesteście państwo założycielami eksperymentalnego teatru „Poza”. Na czym polega jego specyfika?

— Nazwaliśmy się teatrem „Poza” — mówi Piotr Lachmann — nie dlatego, iż znaleźliśmy się poza teatrem nie przedstawiając nim być, lecz również dlatego, iż szukamy niejako „prawdy poza”. Specyfiką naszego teatru jest zastosowanie „na żywo” w spektaklu teatralnym sprzętu wideo, który komplikuje i powiela przekaz. W próbie „dialogu obrazów” żywy aktor i jego nie mniej żywe sobowtór oraz przywołane z innej czasoprzestrzeni sceny i obrazy zarejestrowane wcześniej na wideokasach, pozostają równoprawnymi partnerami obrazów z kamer, którymi kierują, wystę-

— Nie, faktycznie to nie przypadek — mówi p. Lachmann. — Zajmuję się różnymi rzeczami w swoim życiu zawodowym. Jestem autorem kilku sztuk radiowych, piszę wiersze, tłumaczę sztuki rozmaitych autorów na język niemiecki, głównie T. Różewicza, ale w pewnym momencie zainteresowała mnie twórczość H. Kajzara. Kiedy tłumaczyłem jego „Gwiazdę”, dramat ten nie zachwycał mnie. Krył w sobie zbyt wiele tajemnic. Jednocześnie zawierał silne podmioty estetyczne, które zaczęły mnie zniechęcać, zmuszając do intensywnego myślenia o estetyce proponowanej przez Kajzara. Pomalutką zaczęłam dostrzegać bogactwo możliwości tkwiących w tekście, a zarazem w roli. Postanowiłem wydrzeć tę tajemnicę

maskując możliwości warsztatowe aktora, odsłaniając jego wrażliwość, a także uwewnętrzniając różne prawdy, które on w sobie nosi. Dzięki udziałowi w tych spektaklach odkryli w sobie wiele przedysponacji do zagrania tej samej postaci na wiele sposobów...

— Wideo daje możliwość natychmiastowego sprawdzenia tego, jak się zagrało — usmiecha p. Lachmann. — Daje zatem możliwość autokorekty. Przy montażu widowiska oboje możemy panować nad materiałem, który tworzymy.

W trakcie spektaklu obserwujemy dramat aktora, dla którego nadchodzący czas oznacza kres kariery. Monitory przywołują wspomnienia dawnej świetności, ukazując różne pozycje tej samej gwiazdy. To nie innego, jak lustra — innego czasu. Teatr tradycyjny ani film takich możliwości nie daje.

Wideo ze swej natury prowokuje i zobowiązuje do rozbicia gry jednego aktora na cząstki — mówi p. Lachmann. — Jest to szczególnie poetyckie medium. Nasz spektakl to nie tylko opowieść o kobiecie, aktorce przywołującej swoje teatralne wspomnienia, ale to także opowieść o wspaniałym medium, które kocha manipulację...

— Znajdując się w kłopotliwej sytuacji, nie posiadacie stałej siedziby. Skądże jesteście na gościnność innych scen, rzadko spełniających wasze oczekiwania. Niemniej prezentowaliście w różnych miastach swoje spektakle, jaki był ich odbiór?

— Jeżeli chodzi o możliwości odbioru naszego teatru, nie pomyliłbym się — mówi J. Lothe — Publiczność, mimo że przychodzi do nas z uprzedzeniami, to opuszcza nas bez nich. Widzowie rozumieją, że im więcej na scenie sorzetu, tym większa korzyść dla spektaklu. Mamy świadomość, że intrzygujemy widzów. Obecnie spektakle prezentujemy w wersji kompromisowej. Nasz teatr, tak odmienny w swoim rodzaju, nie może istnieć przy normalnej scenie. Potrzebny jest nam własny lokal, który kojarzyłby się z naszą eksperymentalną formą kontaktu z widzem, w którym aparatura miałyby swoje stałe miejsce, gdzie spełniony byłby wymóg kameralności.

— Łódzka publiczność będzie mogła zapoznać się z państwa propozycją 24 i 25 października, w posiedzeniu Centrum Informacji Kulturalnej, przy ulicy Żamenhofa 1/3 Co zobaczymy?

— „Akt-orka II” spektakl prezentowany na Drugich Spotkaniach Teatru Plastyki i Wzglądu w Katowicach, w czerwcu tego roku. Chętnych serdecznie zapraszamy.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

W GMINNYM OŚRODKU KULTURY W BYCHLEWIE, 11 km. od Bydgoszczy, odbyła się inauguracja roku działalności kulturalnej 1988/1989 w woj. łódzkim.

Tradycyjnym zwyczajem najbardziej wyróżniającym się działacze kultury honorariami zostali wyznaczeni odznaczeniami państwowymi. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczono: Zofię Litak, Krystynę Matyszkę, Elżbietę Pawlikę, Barbarę Polonską, Aleksandra Trachimowicza i Danutę Włodarską.

W uroczystości wzięli m.in. udział: wiceprezydent Łodzi — Janusz Urbanik i kierownik Wydziału Kultury KŁ PZPR — Stanisław Dydziały.

W RAMACH OBCHODÓW 70-LECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI przez Polskę, w Tarnowie oddano do użytku pomnik Wincentego Witosa.

W MUZEUM LUBELSKIM w Lublinie, 13 km., otwarta została ciekawa okolicznościowa wystawa pt. „Janusz Paweł II w medalierstwie” (z okazji X rocznicy pontyfikatu).

WYBITNY SPECJALISTA z dziedziny teorii państwa i prawa — prof. dr Jerzy Wróblewski z UL — otrzymał doktorat honoris causa hiszpańskiego Uniwersytetu Kraju Basków.

Uroczystość nadania tytułu, z udziałem prezydenta województwa łódzkiego, odbyła się w tej uczelni podczas inauguracji roku akademickiego 1988/1989.

ZNANY DOBRZE czytelnikom z naszych łamów autor rozchwytywanej, wciąż wznawianej „Matki” i „Inkarnacji” — popularny Leonard — otrzymał, z okazji 40-lecia LWP, nagrodę literacką i stopnia ministra obrony narodowej.

Serdeczne gratulacje od zespołu „Ogłoszeń”!

INSTYTUT EKONOMII I STATYSTYKI UL organizuje w dniach 20–21 października 1988 r. (w gmachu Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego przy ul. Rewolucji 1905 r. 30) VI Międzynarodowe Seminarium nt. „Wielowymiarowa Analiza Statystyczna — WAS 88”.

Seminarium poświęcone będzie metodologicznym problemom wielowymiarowej analizy statystycznej. Swoje udział w konferencji zapowiedzieli naukowcy z Holandii, Finlandii, NRD, RFN, Wielkiej Brytanii, ZSRR oraz polskich ośrodków badawczych.

ODBYŁO SIĘ PIERWSZE ZEBRANIE nowego powstałego w naszym mieście Klubu Inteligencji Katolickiej. Stawia on sobie za cel propagowanie wartości intelektualnych oraz społecznych, wynikających z nauki Kościoła katolickiego.

OD POZACZĄTKU ROKU budowane w Łodzi 2025 mieszkań. Roczny plan budownictwa mieszkaniowego za 3 miesiące został wykonany w naszym mieście zaledwie w 1/3 procentach.

PRZESZŁOŚĆ I DZIŚNI SPÓŁDZIELNI MIEZKOWAŁOŚCI została Janusz Podsiadli (lat 51) — absolwent Uniwersytetu Łódzkiego. Trzydzięci lat przepracował w gospodarce mieszkaniowej. Był m.in. dyrektorem PGM Łódź-Sródmieście.

Obok sportu, drugim jego zamiłowaniem jest literatura, dotycząca II Rzeczypospolitej i II wojny światowej.

PRZYDOMU KULTURY ŁÓDŹ-SRÓDMIEŚCIE powstał pierwszy w naszym mieście Fan-Club muzyki poważnej. Członkowie klubu zamierzają m.in. pozyskiwać coraz szersze grono ludzi do odbioru tej formy muzyki.

Przykładając, zaskakująco, do rozpropagowania, inicjatywy.

WE WROCŁAWIU ZAREJESTROWANO TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ LWOWA, które na zasadzie klubów może prowadzić działalność w całym kraju.

CENTRUM KRAKOWA — pobytując od 1 października br., stało się strażą szczególną ochroną.

Z rynku i ulic otoczonych Plantami wyprowadzono pojazdy motorowe (poza niezbędnymi dla funkcjonowania miasta).

P.P. „SZTUKA POLSKA” ma już za sobą 1 lat działalności. Było to bardzo dynamiczne pięcioletnie dla przedsiębiorstwa. Informacji o działalności Oddziału Łódzkiego, zaliczanego do najprężniejszych w kraju, udzielił dyrektor mgr Wiesław Lewandowski na spotkaniu z przedstawicielami związków i udziałem stowarzyszeń twórczych (plastycznych), z udziałem prasy, radia i TV, 13 października br. w Klubie Plastyków. Dyrektor poinformował również o nowych, niezwykle korzystnych dla twórców zasadach rozliczeń finansowych Ostra, momentami kontrowersyjna dyskusja, która się wywiązała po wystąpieniu dyr. Wiesława Lewandowskiego, dowodzi, że wcale jeszcze problemów środowiskowych nie powstała artystom spokojnie pracować, bez obawy o przyszłość własną i polskiej sztuki.

MUZEUM KINEMATOGRAFI W ŁODZI zaprasza na wystawę malarstwa Joanny Postulasy (USA), do Palmiarni w Parku Źródłiska.

SZESZCZESIEŃCIELE URODZIN obchodził znany łódzki numizmat, bibliofil i kolekcjoner — Stanisław Bulikiewicz.

W CZASIE WARSZTATÓW LITERACKICH I PLENERU w Wiśniewie Górze, zorganizowanych przez Oddział Łódzki RSTR, rozstrzygnięto Konkurs Literacki im. Anny Domagali Jakub.

W dziale poezji I nagrodę uzyskała Marzena Beata Guzowska (Gdańsk), II — Anna Zygadiewicz (Łódź) i dwie III nagrody jury przyznało: Marcinowi Stanisławowi Boguszewskiemu (Łódź) oraz Bronisławowi Stapińskiemu (Wrocław), zaś wyróżnienia przypadły: Marci Ścieżce (Lublin) i Kacimierzowi Graczykowskiemu (Łódź).

W dziale prozy I nagrody nie przyznano. Dwie II nagrody otrzymały: Marianna Sokół i Aleksandra Misztal (obie z Łodzi), dwie III — Stanisław Worwickiewicz (Łódź) oraz Wiesław Kopka (Sieradz). Przyznano też trzy wyróżnienia: Januszowi Bartłomiejowi, Mieczysławowi Klimekowi i oras Witoldowi Kowalskiemu (wszyscy z Łodzi).

POWSTAŁ „Centralny katalog skradzionych i zaginionych dóbr kultury”. Bedzie on rozsyłany do muzeów, antykwariatów, salonów „Desy”, urzędów celnych i jednostek MO.

Najwyższy czas i najwyższa pora, by postawić jeszcze jedną tamtą grzebiącą unikatowych dzieł ze skarba narodowej sztuki.



Kronika

„Jak w lusterku - twarzą w twarz...”

— rozmowa z JOLANTĄ LOTHE i PIOTREM LACHMANNEM.

pując jednocześnie w roli operatora i reżysera.

— Czy też to pomyślnie zapożyczony?

— Nie, taka forma spektaklu wymusiłiśmy sami. Wprawdzie wcześniej oglądaliśmy „video-art”, formę niezwykle elitarną, robioną na użytek różnych wideotelek, ale nam zależało na utrzymaniu kontaktu z widzem. Szukaliśmy odpowiedników linearnej konstrukcji dramatu w taki sposób, aby prezentowany tekst dramatu nie okazał się li tylko ilustracją. Słowa wypowiedziane na żywo przez Jolantę Lothe w spektaklu zostały zwielokrotnione na magnetowidowym odbiciu. Właśnie to odbicie stało się równie ważnym elementem współpracującym jak żywy aktor.

— Zatem jesteście państwo prekursorami nowej formy teatru jednego aktora?

— Niezupełnie. Prawdziwym „prekursorem” jest telewizja, a właściwie jej studio. W studio telewizyjnym znajduje się cała ściana wyposażona w kilka rzędów monitorów, na których pojawia się wielość planów tych samych zdarzeń rejestrowanych przez różne kamery. Tu tkwi chyba podstawowa inspiracja, skądą naszą wyobraźnię do takiej a nie innej inscenizacji naszego spektaklu.

— Zrealizowaliście państwo do tej pory trzy spektakle: „Akt-orka I”, „Kajzar — fragmenty”, „Akt-orka II”. Wszystkie powstały na podstawie wybranych tekstów z dramatu Helmuta Kajzara. Dobór autora nie jest chyba sprawą przypadkową?

Kajzarowi, a to poszukiwanie zaprowadziło mnie do własnej wizji spektaklu. Wspólnie z Jolantą Lothe zaryzykowaliśmy ten eksperyment.

— Zatem słowa otwierające przedstawienie zatytułowane „Akt-orka” wypowiedziane przez J. Lothe: „Jeszcze raz, jak w lusterku twarzą w twarz...” są wprowadzeniem widza w podstawową myśl estetyczną dramatu H. Kajzara?

— Tak. Wszystkie nasze spektakle wyrastają z siebie organicznie. Naszą intencją jest właśnie umysłowość widza podstawowej myśli estetycznej dramatu H. Kajzara „Gwiazda” i „Zawsze tylko na podobieństwo”, w której widzimy kłótnię, a nie fascynację sztuką, wykręcającą w tym celu doświadczenia wizualne odbiorców, wynikające z kontaktu z telewizją, fotografią, wideo.

— Udział pań w tym niecodziennym teatrze jednego aktora musi być dla aktorki bardzo ciekawym doświadczeniem zawodowym, dostarczającym wiedzy o własnych możliwościach. Pań swoją osobowością musi przez cały czas trwać spektaklu podlegać zainteresowaniu widza, a to trudne zadanie — zwracam się do Jolanty Lothe.

— Jest to zadanie ryzykowne i fascynujące. Zastosowanie w spektaklu techniki wideo de-

Gdyby został dyrektorem

MANNIE FISHER, australijski kompozytor, zasiadł w jury sopockiego festiwalu, a także jako przedstawiciel ZIOFF — Międzynarodowej Organizacji Festiwalu, był jego obserwatorem. Mannie Fisher przywiózł do Sopoty nagrodę dla najlepszego wykonawcy po raz 38 roku życia. Dziś wiadomo, że przypada Halinie. Przy okazji komplementowania orkiestry Aleksandra Maliszewskiego Mannie Fisher powiedział:

— W maju tego roku byłem na festiwalu „Ratysławska Lira”, ale nie zasiadałem tam w jury. To była moja pierwsza wizyta w kraju socjalistycznym. Druga jest mój pobyt w Sopocie.

— Czy mógłby pan powiedzieć, jak festiwal w Sopocie prezentuje się na tle innych festiwalu?

— Muszę powiedzieć, że spośród wielu, jakie widziałem, sopocki festiwal jest unikalny pod wieloma względami, ot choćby to, co każdemu rzuca się w oczy — wspaniałe położenie Opery Leśnej. Na szczególną pochwałę zasługuje orkiestra, która jest fantastyczna. Jest jedną z najlepszych, jakie słyszałem do tej pory, muzyka grająca bardzo nowoczesnie, na bardzo wysokim światowym poziomie.

— A piosenkarze?

— Tutaj też jest niesie i jury miało duże kłopoty z przyznaniem głównej nagrody.

— Miał pan możliwość obejrzenia i wysłuchania na festiwalu Kayah, Haliny i Grzegorza Ciechowskiego.

— Nie chciałbym komentować całej trójki, ale niektóre utwory bardzo miłe mnie zaskoczyły. Bardzo ciekawe dla mnie, jako kompozytora, były interpretacje polskich piosenek przez artystów zagranicznych, ale myślę, że niestety przekłady nie zawsze oddawały atmosferę polskiego tekstu.

— Gdyby został pan dyrektorem generalnym sopockiego festiwalu, co by pan zmienił?

— Z tego co widziałem do tej pory nie zmieniłbym nic.

K lub jazzowy... Niektórzy pamiętają jeszcze, zapewne łódzki „Storyville” (Piotrkowska 55, w podziemi), klub-efemeryda. Nie istnieje od lat, podobnie jak żadna inna tego typu placówka. Od lat też nie dzieje się w łódzkim jazzie najlepiej. Obserwujemy ustawiczną ucieczkę do innych miast co zdolniejszych muzyków (ostatnio choćby Andrzeja Olejniczaka). To w końcu nie dziwi: gdyby, na przykład, zlikwidować filharmonię i teatry muzyczne, nie mielibyśmy również skrzypków i wioloncelistów, a Mozarta i Strawińskiego wypadłoby

Wieczór w „Cotton Jazz Clubie”

słuchać wyłącznie z płyt i radia, czekając co najwyżej na jakieś gościnne występy...

Tak na łamach „Ogłoszeń” pisałem w felietonie „Obywateli nieobecni” w roku 1979. Sytuacja muzyki synkopowanej w naszym mieście nie przedstawiała się wówczas wesoło. Nie było gdzie grać, nie było gdzie słuchać jazzu.

Teraz jest już, na szczęście, inaczej. W odróżnieniu od Pani Klasyki, która po przymusowym opuszczeniu gmachu Filharmonii przy ul. Narutowicza kontynuowała dotychczasowy żywot sublokatorski, szacowny Obywatel Jazz, po krótkim pobycie w klubie PSJ (Piotrkowska 56, na piętrze), dojechał się wreszcie lokalowe stabilizacji. Jak już na naszych łamach informowałem, dzięki inicjatywie dyrektora Estrady, byłego perkusisty jazzowego — Janusza Sikory, trzeba, niedługo członka sławnych

„Melomanów”, obecnie redaktora naczelnego „Kalejdoskopu” i kustosa Polskiego Archiwum Jazzu — Andrzeja „Idona” Wojciechowskiego; pianisty i popularnego muzyka synkopowanej — Witolda Afelę oraz saksofonistę — Jerzego Kazimierczyka, w grudniu ub. roku powołano do życia przy Estradzie Łódzkiej (ul. Narutowicza 20) „Cotton Jazz Club”. Klub jazzowy, z prawdziwego zdarzenia.

Ta niekomercyjna i w pełni demokratyczna — bo dostępna dla wszystkich, czynnie i biernie zainteresowanych jazzowym graniem — placówka zainauguro-

mienia Estrady opiekę organizacyjną nad „Cotton Jazz Clubem”. Iwona Klamann: — „No, w sezon rozpoczynamy ze świadomością, że klub jest środowisku rzeczywistym niezbędny. Widzę duże zainteresowanie zarówno muzyków, jak i miłośników jazzu. Zrezygnujemy z reprezentacji różnych generacji, stylu i umiejętności. Swoją akces zgłoszyli właśnie kolęjne 2 zespoły. Aktywni są m. in. studenci Akademii Muzycznej i — ostatnio — uczniowie PSM II stoncia im. S. Moniuszki. Oby tylko nie zabrakło pieniędzy na działalność. Cotygodniowe, poniedziałkowe spotkania są niebiletowane, a każda działalność, jak wiadomo, kosztuje”.

Chwilę na rozmowę o zamierzanych programowo-artystycznych zajęciach członkowie zarządu klubowego, Andrzej „Idon” Wojciechowski powiedział: — „Pragniemy raz w miesiącu ścierać do nas jakiegoś znanego solistę lub zespół. Zapowiedzieli już wizyty Jarosław Śmietana i Janusza Munia. W grudniu jak przed rokiem, przewidujemy O-płatek Jazzowy. Jeśli wystarczą fundusze, podejmemy też, być może, jawną edukację najmłodszych”.

Jerzy Kazimierczyk: — „Myślę, że bywałoby „Cotton Jazz Clubu” zainteresować zakumiony przez Estradę tzw. Tele-Bim (obecnie chyba jedyny w Polsce), pozwalający oglądać filmy wideo na ekranie o wymiarach 5 na 4 m z dźwiękiem Hi-Fi. Zapas filmowych programów jazzowych mamy spory”.

Cóż, wygląda to ciekawie. A zatem, do następnego spotkania, w „Cotton Jazz Clubie”.

JANUSZ JANYST

Romantyzm i współczesność

Wykonawcami koncertu symfonicznego, który odbył się w Filharmonii Łódzkiej we wrześniu br. byli dwaj młodzi artyści: polski dyrygent — Paweł Przytycki i amerykański pianista — Kevin Kenner. Wspomniany wieczór muzyczny otworzyło Adagietto z opery Raj utracony Krzysztofa Pendereckiego. Napisana do libretta opartej na poemacie angielskiego poety epoki baroku — Johna Milтона opera Krzysztofa Pendereckiego, podobnie jak i koncert skrzypcowy należą do tej grupy dzieł kompozytora, których język muzycz-

nie wspomniane dzieło łączy w sobie pierwiastek liryczny-poetycki z wirtuozowskim blaskiem. Interesujące oraz godne zauważenia w interpretacji młodego amerykańskiego artysty jest to, że równie pięknie potrafił zaznaczyć fragmenty o typowo poetyckim i lirycznym charakterze — rozległe i spokojne prowadzenie linii melodycznej w drugiej części dzieła — Romanza. Trzeba też zauważyć wyjątkowo bezbłędnie pod względem technicznym brzmienie liryczne solo fagotu. Kevin Kenner okazał się też świetnym wirtuozem. Dało się to od-

czuć w rolowych kadencjach utrzymanych w rytmie krakowiaka finałowego rondo. Młody artysta wykazał także w tym fragmencie swoją siłę witalną i głębokie wyczuwanie specyficznego stylu polskiej muzyki narodowej.

Po wysłuchaniu artystycznej kreacji 24-letniego amerykańskiego pianisty można śmiało powiedzieć, że jest on młodym młodym wieku w pełni już dojrzała indywidualnością muzyczną o naprawdę wielkiej przyszłości artystycznej.

Jeżeli myślimy o epoce romantyzmu w muzyce, to trudno zapomnieć o takich dziełach w których kompozytorzy „odmalowywali” przy pomocy dźwięku piękno przyrody i podziwiane przez siebie krajobrazy. Do grupy tego typu utworów należą bez wątpienia dwie najbardziej wartościowe artystycznie symfonie wieloświeka Chopina — F-leska Mendelssohna — „Wiosna” i „Szkocka”. Właśnie ta ostatnia zamknęła program omawianego wieczoru symfonicznego.

Swoje powstanie Symfonia a-moll zawdzięcza

PIOTR KUKIELKA

Opracował: JAK

Trzej oficerowie w czarnych rękawiczkach i śnieżnych nieprzezwyciężalnych wysokich butach z życzliwym zainteresowaniem rozmawiali ze stojącym obok nich starszym mężczyzną. Mężczyzna był więcej niż słusznego wzrostu, trzymał się prosto, niemal służbiście, a na pokrytej gęstą siwą głowę nosił okrągłą, granatową czapkę z daszkiem. Nad daszkiem widniał wykrojony z sukna znak czerwonego krzyża, co wskazywało, że mężczyzna jest lekarzem. Zainteresowanie oficerów wzbudziła niewątpliwie jego aparycja, wyróżniająca go z tłumu szarych postaci z żółtą gwiazdą, które wypuścił sznur towarowych wagonów. Kilka kroków obok stał młody mężczyzna w takiej samej lekarskiej czapce i słuchał przez krótką chwilę toczącej się żywo i swobodnie rozmowy. Prowadzona była oczywiście po niemiecku, przy czym niemiecka cywila w czapce z czerwonym krzyżem wyróżniała się niezwyklej wyprost wytwornością.

— W Dorpacie, mówi pan? — powiedział najwyższy rangą z oficerów. — To był znany komitety uniwersytet...

— Tak, czterdziści osiem lat temu — stwierdził z niejaką dumą mężczyzna.

— Patologię wykładał, zdaje

— Świetnie mówi pan po niemiecku — pochwalił ten najwyższy rangą. (Stojący obok młody mężczyzna w lekarskiej czapce teraz dopiero zauważył w ręku oficera szpicrutę). — Dużo zawdzięcza pan Niemcom.

Kolumna była już ustawiona i wyglądała w miarę porządku.

— Na nas czas — zwrócił uwagę temu wyższemu szarą stojący obok i niecierpliwie przestępujący z nogi na nogę, jak koń przed biegiem, oficer.

— Tak, oczywiście — powiedział ten najstarszy rangą, odwrócił się i podszedł szybko w stronę uformowanej kolumny.

Z pewnym zdumieniem rozpoczął swoją rutynową, od szeregu miesięcy taką samą czynność. Trzymając zrecnie

Halina Birenbaum, autorka dwukrotnie wydanej nakładem „Czytelnika” książki wspomnieniowej pt. „Nadzieja umiera ostatnia”, udostępniła naszej redakcji tekst oparty na relacji Rut Adler-Goldberg. Dotyczy on uratowania rękopisów Iechaka Kacnelsona, a zwłaszcza jego „Pieśni o zamordowanym narodzie żydowskim”, wstrząsającego poematu o ginącym getcie. Według informacji Autorki tak szczegółowy opis przygotowany na podstawie udokumentowanej relacji bezpośredniej uczestniczki akcji ratowania twórczości wybitnego poety i dramaturga żydowskiego publikowany jest po raz pierwszy, a przedstawione okoliczności nie były dotąd znane.

Przypomnijmy, że Iechak Kacnelson urodził się w 1886 roku. Jego utwory — dramat pt. „Odwrót” i poemat pt. „Tarsisz”, ukazały się w tłumaczeniu na język polski w latach międzywojennych. W czasie okupacji przebywał w getcie warszawskim, a następnie w obozie w Vitel we Francji, skąd przewieziony został do Oświęcimia, gdzie zginął w 1944 roku.

Tytuł tego zgoła sensacyjnego opowiadania pochodzi od redakcji.

K.T.

Poematy zza drutów wyszły na świat?

Poznałam i zaprzyjaźniłam się z poetą Iechakiem Kacnelsonem w „Vitel” we Francji w roku 1943, gdzie została przesłana z obozu w Besancon jako obywatelka brytyjska z Palestyny. Ojciec mój pochodził z Warszawy, matka z Niemiec. W roku 1933 moja rodzina wyjechała z Niemiec hitlerowskich do Anglii, a potem do Paryża. Nieco później (1938) wyemigrowałam w grupie młodzieży syjonistycznej do ówczesnej Palestyny. W roku 1939 przyjechałam do Paryża, aby odwiedzić rodzinę i tu zastała mnie wojna.

Niemcy internowali obywateli krajów, które brały udział w wojnie przeciwko nim i zamknęli ich w Besancon. Znalazłam się między nimi. Rodzice moi zostali zawiezieni do rozmaitych obozów nazistowskich, i w końcu zamordowani w Oświęcimiu. Uratował się tylko brat.

Wzieli mnie w Vitel blisko cztery lata. Mieszkaliśmy w budynku, gdzie przeznaczeni znajdowali się jeńcy aryjscy.

Iechak Kacnelson przybył tu w transporcie Żydów z Polski. Kiedy zwolniono go z kwarantanny, zapytał, czy znajduję się w obozie jacy Żydzi? Skierowano go do mnie i mojego przyjaciela, Ben-Cyiona Chomskiego.

Trzymaliśmy przy sobie zawsze biblię, którą udało mi się przewieźć do obozu. Niemcy oznaczyli ją stemplem „Geprüft” — sprawdzona... (Księga ta, jak i inne dokumenty z Vitel znajdują się obecnie w archiwum Lohamej Hagetaot).

Po raz pierwszy odwiedził mnie Iechak Kacnelson w towarzystwie swego syna Cwi, żony i dr Natana Eka, byłego dyrektora żydowskiego gimnazjum w Łodzi, którego przewieziono razem z nimi. W czasie naszej rozmowy wspomnieliśmy o Nechemie z biblii. Iechak Kacnelson zwrócił uwagę, że mówię o tej postaci, jak o kimś żyjącym wśród nas... Jakaś kobieta napomknęła, że mężczyznom wzbroniono odwiedzać blok kobiet. Iechak zaproponował, żebyśmy poszli do ogrodu. Wzięłam swoją biblię. Usiedliśmy na ławce i Iechak odczytał urywek z Ezechiela o wysuszonych kościach. Czytał z niezwykłym przejęciem, jak najzręczniejszą modlitwą wyrażając nasze rozpaczliwe nadzieje.

Postanowiliśmy przenieść się do bloku, gdzie znajdowali się Żydzi. Był to stary, zaniedbany budynek. Ludzie ostrzegali mnie, że jest tam niewygodnie i niebezpiecznie. Ale chciałam być wśród współrodaków. Zwróciłam się z tym do komendanta obozu, Landhauzera. Niemiec ten był katolikiem i nie tak zły, jak jego koledzy. Zgodził się wypełnić moją prośbę.

Przeniosłam się do budynku dawnego hotelu „Providence” w którym umieszczono Żydów z Polski. Vitel było przed wojną miejscowością kuracyjną, pełną hoteli. Budynek przeznaczony dla Żydów zwał się „Grand Hotel”, a w dawnym hotelu „Kontynental” trzymało zakon.

Spotykałam się z Iechakiem Kacnelsonem codziennie. Siedziałam przy nim, gdy pisał

„Pieśń o zamordowanym narodzie”. Raz po raz odczytywał mi napisane fragmenty, a ja ocierałam mu łzy i pot z twarzy. Nieraz nalegałam, żeby przerwał pracę, gdyż widziałam, że jest bliski omdlenia. Jednak nie mógł przerwać, choć ból i wysiłek dobiły go.

Strofy poematu „Do niebios” przeczytał mi w ogrodzie, zagłębionym mi przeliskiem w oczy. Czekając w napięciu i z bojaźnią mojej reakcji. Wiedział, że jestem nabożna, a wiersz był wielkim protestem wobec Boga. Myślał, że będę sprzeciwiać się. Byłam zaskoczona siłą wyrazu tego utworu. Opanowało mnie poczucie potęgi i wieczności. Nie ośmielałam się przyznać wobec siebie i swego Boga, że w głębi serca utożsamiam się z tym, co napisał i czytał mi. Pomyślałam, że należy włączyć te strofy do biblii. Iechak wdychał i powtarzał z rozpaczą w głosie: „O mój narodzie, o, narodzie mój!”.

Odnosiłam wrażenie, że on niesie na swych barkach cały ciężar naszego strasznego losu!

Iechak Kacnelson pisał też inne wiersze w Vitel. Dopasowywał słowa do znanych ulubionych melodii. Śpiewaliśmy je razem. Utwory swe cenił ponad życie. Pragnął uratować je dla świata. Po wspólnej naradzie z Chomskim, postanowiliśmy włożyć rękopisy do butelek i zakopać je w ziemi.

Na początku 1944 roku zawiadomiono mnie, że znajduję się na liście transportu do Palestyny, na wymianę za Niemców. Iechak słysząc to, zawołał:

— O, Rut, może to jest jedyna okazja uratowania moich utworów?

Ale po chwili wycofał się, chwytając się rekoma za głowę, powiedział:

— Jak mogłem ośmielić się zaproponować ci tak niebezpieczny czyn?! Przypłaciłabyś to życiem!!

Ben-Cyjon wtrącił się:

— Jak to! Ty Iechaku możesz tak wiele działać i tworzyć, aby przekazać ludzkości nasze straszne dzieje — a my nie dołożymy do tego żadnych wysiłków i starań!!

Postanowiliśmy, że Iechak przepisze poemat na cienkiej bibule, żebyśmy mogli przewieźć go do Palestyny. Wykopaliśmy butelki, wyjęliśmy kartki i Iechak zasiał do przepisywania. Wszystko należało utrzymać w tajemnicy, gdyż groziła nam kara śmierci, gdyby Niemcy dowiedzieli się o pisaniu wierszy w obozie i planie przesmygnięcia ich na wolność. Dopuściliśmy do sekretu pewnego Żyda z obozu. Zwinęte w rulonik kartki bibuły zamierzaliśmy wsunąć do rączki mojej walizki. Nachman Goldsztejn uczynił to z niezwykłą zrecznością. Butelki z oryginalnym poematem zakopaliśmy ponownie.

Przyszedł moment wymiany Żydów polskich, a wśród nich Iechaka z synem. Niemcy sprawdzili ich dokumenty, ale okazało się, że nie są w — rzadku. Kraje, do których mieli zostać wysłani, oświadczyły, że nie są ich obywatelami. Znać to, że przybyli na dokumentach sfalszowanych. Sprawa przybrała zastraszający obrót.



Foto: Konrad Turowski

mojej grupy z obozu. Teraz miałam wypełnić swą misję przewiezienia walizki z rękopisem Iechaka Kacnelsona oraz tory chasydów. Jak przenieść torę? Niemcy nie mogli nie zauważyć tak wielkiej paczki. Pośród rewidujących nas był Niemiec, który pochodził z mojego miasta. Jego syn uczył się w tej samej klasie co mój brat, a nawet odwiedzał nasz dom. Zwróciłam się do niego i wyjaśniłam, że w paczce jest biblia i pragnę zabrać ją ze sobą do Palestyny. Wycisnął pieczęć „sprawdzone” na zapakowanej torze. Wyszłam na zewnątrz i odetchnęłam z ulgą.

Nagle zjawił się Niemiec i zawołał mnie. Kazał mi iść z nim z walizką. Przekazałam torę jeńcowi żydowskiemu. Wprowadził mnie do pokoju, Niemka przeprowadziła rewizję osobistą, rozbierając mnie do naga. Żołnierze niemieccy przewracali wszystko w walizce, przeszukiwali każdy drobiazg. Zabrali rysunki, które malowałam w obozie. Rękopisu Iechaka Kacnelsona nie znaleźli.

Miałam okazję ponownie poznać się z Chomskim, który znajdował się w pobliżu. Obiecaliśmy się i ucałowali. Niemiec podszedł i uderzył mnie kilkakrotnie w twarz. Opanowała mnie szalona chęć zemsty. Jedynie myśl o tych, którzy tu pozostają powstrzymała mnie. Kiedy już byłam poza ogrodzeniem, dał mi Chomski do zrozumienia wzrokiem i ruchem ręki, że pomści moje upokorzenie. I dotrzymał słowa. Po wojnie przysłał mi zdjęcie, na którym sfotografowany był ten Niemiec w niewoli z rekoma założonymi nad głową. Do dziś mam to zdjęcie.

W Konstantynopolu skontaktowałam się z Wanią Pomerancem z Palestyny. Opowiedziałam mu o transporcie Żydów polskich, z którymi wysłany został Iechak Kacnelson z synem. Prosiłam, żeby dowiedział się, co zrobili z tym transportem. Opowiedziałam Pomerancowi o rękopisie Kacnelsona i o torze, które wywoziłam z Vitel.

Dostałam się do brytyjskiego obozu w Palestynie, Atlit. Judge Hielmanowi, członkowi jednego z kibuców Hakibuc-Hemeuhad przekazałam rękopisy Kacnelsona („Pieśń o zamordowanym narodzie”, kilka innych wierszy i scenariusz, napisane w Vitlu) oraz listy od poety do Berlka Kacnelsona i Tabenkina, przywódców żydowskiego ruchu robotniczego w Palestynie. Przedstawicielowi partii religijnej Agudat-Israël, Benjaminowi Mincowi przekazałam torę od chasydów z Vitel... Było to w roku 1944 — wojna w Europie.

W pierwszym wydaniu pism Iechaka Kacnelsona, które opublikowano w 1947 roku, zaznaczono, że przewiozłam rękopisy z Vitel. Również zdjęcie poety z synem zamieszczone w książce pochodzi ode mnie. Kacnelson podarował mi je na pamiątkę wraz z dedykacją.

Po wojnie Miriam Nowitz przywoziła butelki z oryginalnym poematem. Być może do wiedziała się o miejscu ich ukrycia od Natana Eka. Miriam przez pewien czas mieszkała ze mną w „Grand Hotelu” w Vitel.

W późniejszych wydaniach pism Kacnelsona pominięto te wszystkie fakty.

15.03.1988 r.

Spisała i przetłumaczyła z hebrajskiego

HALINA BIRENBAUM

ARNOLD MOSTOWICZ

Hauptsturmführer przy pracy

się, w tym czasie sam wielki Zunge — powiedział oficer.

Zanim jednak mężczyzna udzielił odpowiedzi, z tyłu, gdzie stał na rampie pociąg, doszedł rozmawiających gwałtowny zgłęb, w którym rozbrzmiewała krzyki żołnierzy i wściekłe ujadanie psów. Zgłęb trwał właściwie cały czas. Falał — to narastał, to zmniejszał się, w zależności od tego, jak szybko i sprawnie ustawała się kolumna ludzi. Jeden z oficerów spojrzał z lekka zniecierpliwiony w kierunku rampy i jak gdyby pod wpływem tego spojrzenia hałas w tym momencie nieco osłabł.

— W Dorpacie patologia stała niezwykle wysoka. Chyba nigdzie w Niemczech nie słyszano się tak znakomitych wykładów z patologii. Szczególnie choroby wewnętrzne...

— A jaka jest pańska specjalność? — przerwał mu jeden z oficerów, który stał na lewo od tego z najwyższą rangą.

— Choroby skóry... Specjalizowałem się w chorobach skóry.

— I oczywiście wenerycznych? — zaśmiał się ten na lewo — To przecież zawsze razem, prawda?

— Ależ nie — przerwał mu ten najwyższy rangą — dobry specjalista skórnik wcale nie musi zajmować się chorobami wenerycznymi.

— Pan na pewno był dobrym lekarzem — powiedział ten z oficerów, który dotychczas milczał — tyle lat praktyki.

— Po studiach specjalizowałem się w Berlinie i w Lipsku w Berlinie u... — Hałas ponownie przerwał słowa mężczyzny. Po chwili dopiero dokończył: — ...w tamtejszej klinice uniwersyteckiej. Mam bardzo przyjemne wspomnienia z tego okresu.

szpicrutę między kciukiem a dłonią, lekkim ruchem ręki w czarnej, eleganckiej rękawiczce dzielił kolumnę na dwie nierówne części. Tę większą kierował na lewo, mniejszą — na prawo.

Jeden z pozostałych dwóch oficerów zawołał coś głośno, pytającym wzrokiem wskazując na starszego mężczyznę w czapce z czerwonym krzyżem.

— Normalnie, normalnie! — odwrócił ten najwyższy rangą nie przerywając swojej mechanicznej i, przynajmniej trzeba, niezbyt uważnie wykonywanej czynności.

Trzeci z oficerów, ten najmniej rozmowny, grzecznie wskazał starszemu mężczyźnie miejsce w kolumnie ciągnącej już długą czarną wstęgą w lewą stronę. Mężczyzna skłonił się lekko i stanął obok jakiejś kobiety z dwojgiem dzieci. Wolnym krokiem ruszył w kierunku swego przeznaczenia, w stronę łaźni, gdzie kurki, podobnie jak uprzednio uśmiechy oficerów, były tylko atrapami.

A ten młodszy, w takiej samej lekarskiej czapce, pewny swoich trzydziestu zaledwie lat, po zezwalającym geście oficera dołączył do kolumny sunącej w prawą stronę.

Był sierpień 1944 roku i jedna z ostatnich selekcji, jaką w Oświęcimiu przeprowadzał Hauptsturmführer Józef Mengele.

Na tym kończymy druk fragmentów książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niehawem ukaże się nakładem PIW.

Jan Duch powlókł się do domu z oszczerczymi wycinkami w kieszeni. Tu niespodzianka: gospodyni podała mu grubą kopertę od Jerzego Giedroycia. Duch rozerwał ją niecierpliwie, jakby spodziewał się, że znajdzie tam plik nowiutkich franków. Niestety — ku swemu zdziwieniu zobaczył te same wycinki, które otrzymał od Mertly! Ale nie tylko. Były także kopie kserokopie listów anonimów, które ostatnio napływały w dużych ilościach do redakcji „Kultury”.

„Uważam za słusne, by Pan był zorientowany, co się wokół Pana osoby dzieje. Otrzymuję też telefony i listy z groźbami, że jeśli będę Pana drukował, to czytelnicy zerwą prenumeratę” — pisał Giedroyc.

Wycinki artykułów z „Le Monde”, „Neue Zürcher Zeitung” belgijskiego „Het Volk”, włoskich „Corriere della Sera” i „Il Tempo”, a także „La Libre Belgique” i kilku innych gazet europejskich utrzymywane były w tonie informującym, raczej przychylnym. „Noto scrittore Polacco chiede asilo in Belgio” — znany pisarz polski prosi o azyl w Belgii — albo, jak w gazecie z Zurychu: „Schriftsteller und Censur”, znaczy: „pisarz a cenzura”. Nie specjalnego. Ale już spory artykuł w „Sueddeutsche Zeitung” utrzymywany w napastliwym, pełnym nienawiści tonie: „jakaś kreatura, podpisująca się Pampuch-Bronska, w tekście zatytułowanym „Das Ende einer Karriere” („Koniec pewnej kariery”), zarzuca Duchowi nieuczciwość dziennikarską i szereg innych grzechów, z których główny, jak można się domyślać, był ten, że Duch takim, jak ta Pampuch, nie chciał być dupy.

Ciekawe, że ta sama kreatura, w tym samym dzienniku, pisała także o mnie, mieszkając z blokiem mój „Raport z Monachium”, a stawiając mi za przykład szlachetnego obiektywizmu utwór zatytułowany „Raport z Hamburga”, pisał Wiesława Górnickiego, skądinąd bardzo dobrego dziennikarza. Nie miałem okazji przeczytać tej książki, ale wierzę, że jest lepsza niż moja, ponieważ podobała się pani Pampuch i jej południowoniemieckim przyjaciółom.

Wracajmy do Ducha. Następnego dnia rano wpadłem do niego — mieszkał już prywatnie na mansardzie, gdzie zamiast okna otwierało się po prostu kłębem kawałek dachu — i miałem okazję przeczytać ten gnój, który spadł na jego łeb, jeżeli można powiedzieć w ten sposób. Najlepszy był numer z rewolwerowcem niemieckim „Der Spiegel”, gdzie przedstawiono Ducha jako tchórzka, kurwiarza, agenta Mięczyława Moczara, pułkownika Urzędu Bezpieczeństwa, szpiega i w ogóle kompletne zero moralne i fizyczne, nie wiadomo po co turlające się po ziemi kłębem. To wszystko okraszono zdjęciem Jana Ducha, odbierającego jakąś nagrodę za jakiś tomik poezji.

Teraz, w Warszawie, blisko dwadzieścia lat później, śmieję się obaj z Duchem na wspomnienie tamtych oszczerstw i wymyślań. Ale wtedy to było groźne to mogło nas pozbawić azylu — i o to właśnie autorom tych mówien chodziło.

— Powiedz, stary, naprawdę nie znasz Moczara? — pyta mnie Duch.

— Znałem go tak samo, jak ty — odpowiadam, niemile — dotknął niewiary w prawdziwość moich oświadczeń, składanych wówczas w Belgii.

Zastanawia mnie, jak długo w ludziach potkują się wiara w plotki i pomówienia. Ba, wzmacnia się i powiększa z upływem lat! Zeby zrobić Duchowi na złość, mówię:

— A ty nie masz co się wstydzić. Widziałem cię z Moczarem w Spatifie warszawskim w czerwcu sześćdziesiątego ósmego. Ale nikomu nie powiedziałem, przecież wiesz.

Duch wytrzeszcza na mnie białe z wściekłości oczy.

— Bo ci przypierdole!

— Kiedy brak argumentów, dochodzi do głosu przemoc — powiedział obojętnie.

Duch w końcu uspokaja się, pyta o dziennikarza, nazwiskiem Jerzy Urban.

— Ten, co napisał o tobie w „Polityce” felieton, pod tytułem: „Kryminal z trupem autora”, zaraz po twoim wyjeździe. Zapomniałeś?

Oczywiście, że zapomniałem. Ale mi Duch przypominał. Istotnie, ten dziennikarz napisał taki felieton, pod takim właśnie tytułem. Tym trupem miałem być ja. Ale żyję. I nawet nie chcę zawiadamiać o tym Jerzego Urbana, bo nie warto; nie mam czym się pochwalić, nie napisałem tych słusznych książek, których napisania Urban się spodziewał. Wyraźnie przepowiedział, że wróce do kraju i napiszę „słuszne” książki. Gdyby wszystkie przepowiednie Jerzego Urbana się sprawdzały, mielibyśmy papier toaletowy.

Tak, łatwo z uśmiechem pełnym zrozumienia przypominając sobie dawne kłopoty. Ale gdyby Józef Stalin pożył jakieś dwadzieścia lat dłużej... i wpaść w ręce jakiegoś sfrustrowanego felietonisty...

— A pamiętasz nogusa, którego artykuł biegł całą polską prasę, jakiegoś Walatka, czy innego wiatraka... Wiesz, ten, co to pisał, że po biłeś „znaną tłumaczkę w domu pracy twórczej”...

— Przypominam sobie, owszem. Dawał przykład tragicznie zmarłego Marka Hlaski, że to niby emigracja stała się przyczyną śmierci pisarza. Podczas gdy wszyscy w Polsce wiedzieli, że Hlasko błął o prawo powrotu, a Gomułka oświadczył, że nie wyraża zgody. Ciekawe, co taki Gomułka miał do Hlaski, jaka relacja między przywódcą partii politycznej a popularnym pisarzem? To były czasy, kiedy pisarze, w mniemaniu władców, zagrażali władzy... Stalin mordował piśmiennych, Gomułka po prostu jednego głupka nie wpuszczał do rządu — przez siebie kraju. I ten głupiek, Marek, zamiast zaważyć się i przetrzymać, poszedł na słabość, prozki i wódka, przestawkował... Jeden zero dla „moralnie czystego” władcy. Wstyd o tym dzisiaj mówić, wiesz, Janek, to wszystko śmierdzi jakąś ciętą zagrodą, spętana strachem przez pijanego soltysa.

— Tamten pies — powiedział Duch — też dał ci przepowiednię: „Marek Hlasko zmarł w niestawie na emigracji. Czyżby się Andrzej Brycht niczego nie nauczył?”

Roześmiałem się, rzeczywiście, coś takiego obiegło polskie gazety, nawet przez pewien czas trzymałem wycinki, przysłane przez Jerzego Giedroycia, potem wyrzuciłem to do kibla. „Miałkiś namiot” tego pieska, że niby przepadł, albo ktoś mnie załatwił. Ach, ty mały nędzarzu, gdziekolwiek jesteś, niech los cię ma w opiece...

— Ciekawe — powiada Duch — jak pisałby Marek Hlasko, gdyby dożył do pięćdziesiątki, i dalej. Ze miał talent, to fakt, i to chwila mi duży. Ze był dzieckiem, naśladowującym pisarzy, to też fakt. Ale gdyby dożył?

— Dojrzałby, gdyby przestał pić. Ktoś, kto pije, nie dojrzeje nigdy. Dojrzałość jest trzeźwością.

„Wzbudzenia kolektywne”

— I szalona.

— Tak. Ale własnym szaleństwem, nie chemią spod ciemnej gwiazdy.

Teraz sobie gadamy, jak dwóch emerytów, spokój w nas, bezpieczeństwo, kelner próbuje nas zrobić na trzy tysiące, pustki śmiech. Fajne jest życie, gdy się jest turystą we własnym kraju... własnym? No, w tym, w którym się czek urodził. I którego językiem gada.

— Ale pomyśl, Janek — powiedziałam — założmy, że musisz tu żyć, i spotykać tych samych piesków, którzy na ciebie skakali i szczekali, czytali nowe bzdury, które na twój temat będą wypisywać... Biegać po wydawnictwach, konferować z urzędnikami w sprawach najprostszych, wspinać się na wielką górę niemożności, czekać trzy lata na druk książki, recenzję jakiegoś chłopaczka, który zna świat z telewizji uważać za sukces, opinie jakichś siusiumar-tki za nobilitację literacką... powiedz, jak byś się wtedy czuł? Czy nie chciałbyś wylicieć siad jak z procy, nawet mając sześćdziesiąt lat?

— Nawet jakbym miał sto. Zawsze, w każdym momencie. Z trumny bym się urwał, z trumny na plecach posunąłbym na Zachód. I to nie do Europy, bracie, Europa to takie samo baraccho, jak to tutaj. Europa to śmierć. Ja już nie mogę żyć bez przestrzeni. Przestrzeń to życie. Słuchaj, kiedy sobie uprzytamnam, że jestem obywatелеm kraju, który ma dziesięć milionów kilometrów kwadratowych powierzchni, to czuję w płucach czysty tlen...

— Mam to samo wrażenie. Ale mnie nie o geografie chodzi, tylko o atmosferę między ludźmi. To atmosfera jest ciekawa, jest duszna. To ludzkie myśli, ludzka wyobraźnia tutaj jest duszna. To mi przeszkadza, a nie bieda materialna. Z taką biedą można sobie dać radę, ale ze stanem umysłowym na wpół uduszenia nie można sobie dać rady.

Janek pokłwał głową, wyciągnął z kieszeni marynarki cienką, wąską książeczkę.

— Patrz, co kupiłem kilka godzin temu w księgarni: „Ścieżki Jogi”, takie małe kompendium wiedzy o stylach jogi, zebrane przez Marię Grodecką. Wiesz, że studiowałem Hindusów przez całe lata, że nawet zacząłem tłumaczyć „The Awakening of Intelligence” Krishnamurtiego, zresztą jedynego faceta do brania na serio, bez całej tej abrakadabry liturgicznej, rozpanoszonej w jodze, zenie i różnych formach buddyzmu. Widzę, że młodzi ludzie do słownictwa porywają z łapy te książeczki, więc ja kupiłem. Oni szukają drogi, jakiejś furty do tego całego bałaganu psychicznego, dławiącego normalne życie w tym kraju. Dobrze, że im tu takie furty otwierają, oczywiście to tylko dla wybranych, ale dobrze. Słuchaj, co ta kobieta pisze:

„Każdy z nas tworzy kształty myślowe i rzutuje je w otaczającą atmosferę. Jednocześnie przyciąga do siebie myśli cudze o podobnym jak jego własne charakterze i zabarwieniu. W ten sposób zasilą zasoby własnej energii mentalnej i potęgą siłę jej oddziaływania. Ale czy przyciągnie i przyswoi energie pozytywne czy negatywne, pomagające czy przeszkadzające w dalszym rozwoju, to już zależy od jakości i zabarwienia jego własnych myśli. Jeżeli będą one dobre, szlachetne, twórcze, przywoła-

ją takie rzesze energii pokrewnych, że sam będzie się dziwił, skąd bierze się w nim tyle siły do wykonywania twórczych zadań i dobrych czynów, przewyższających znacznie zasoby jego własnych możliwości. W podobny sposób zostają przyciągnięte myśli złośliwe, podłe, destruktywne, popychające niekiedy ludzi do występ-ków, na które sami by się nie zdobyli”.

Spojrzał na mnie spod oka, żeby się upewnić, czy nie zasypiam, czy rozumiem. Owszem, rozumiałem, chociaż nie wiedziałem, w jakim celu mi to czyta.

— Słuchaj dalej — powiedział — będziesz miał obraz mentalny tego kraju.

„Kiedy człowiek rzutuje w otaczającą go przestrzeń pewien kształt myślowy, to nie tylko pozostaje w magnetycznym z nim kontakcie, ale zasilą w ten sposób i powiększą dobrą lub złą siłę kolektywną. Takie duże zbiorowe kształty myślowe mają ogromny wpływ na sposób myślenia na przykład w jednej rodzinie, prowincji, narodzie czy w jednej religii. Decydują one o wspólnych opiniach, sympatiach, antypatiach, określają identyczne sposoby odczuwania i reagowania na pewne sprawy i zagadnienia. Tak właśnie tworzą się „ogólne opinie”, przesady, uprzedzenia, „niezłomne przekonania”, których nie sposób zmienić ani zakwestionować argumentami racjonalnymi czy moralnymi, bo mechanizm ich kształtowania się jest pozaracjonalny i pozamoralny. Ludzie pozostający pod wpływem atmosfery wypełnionej zbiorowymi kształtami myślowymi widzą wszystko jak przez szkło o pewnej barwie. Własne ich przekonania są stale umacniane podobnymi wibracjami, przychodzącymi z zewnątrz i z kolei same zasilają atmosferę zbiorowych myślokształtów”.

— Rozumiesz, czy mam przeczytać jeszcze raz?

— Go ahead, you fucking bastard — przekląłem pod nosem.

— „Zjawisko to może niezmiennie ograniczać możliwość reagowania indywidualnego, odkształcać wrodzone cechy, zdolności i talenty, zmieniać linię osobistego rozwoju. Niezdolność akceptowania nowych pozytywnych idei i propozycji, trafnej oceny odkrywczych pomysłów, negowanie każdej korzystnej nawet zmiany wynika z zageszczenia tej zbiorowej atmosfery psychicznej, w której się przebywa. Jeżeli zbiorowe kształty myślowe, zwane również „wzbudzeniami kolektywnymi”, są wytworem myśli gwałtownych, mściwych i nienawistnych, to gwałtowną energię destruktywną o takiej sile, że...”

— Pasuje — powiedziałam. — Ja się czuję w tym kraju tak, jakbym pływał w basenie wypełnionym kwasem solnym. Przez pół roku nie usłyszałem od nikogo żadnej dobrej opinii o kimkolwiek. Zmasowany kwas, żółć, niechęć...

— „bunt, psychozy zbiorowe — kontynuował Duch. — Powstaje wtedy coś w rodzaju zbiorowego opętania, które wciąga we wspólny prąd ludzi skądinąd niesklonných do okrucieństwa i przemocy. Uczestniczenie we wszelkich zbiorowościach zamkniętych, gettach, enklawach, kolektywach, choćby nawet budowanych na najszlachetniejszych założeniach ma w rezultacie fatalny wpływ na rozwój jednostek: pozbawia własnego sądu, niewoli umysł, wypacza sposób postępowania, powoduje stan psychiczny, który można nazwać ubezwłasnowolnieniem osobowości”.

— Pewnie wydała to jakaś nielegalna oficyna — rzekłem — bo to brzmi bardzo przeciw partii...

— „Uczestniczenie w kolektywach, nawet budowanych na najszlachetniejszych założeniach...” — powtórzył Duch — odnosi się to do każdej możliwej grupy, do Kościoła też. A wydane jest całkiem „legalnie”, jeżeli pojęcie legalności da się w ogóle zastosować do spraw myślowych czy wydawniczych: przez Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, i to w nakładzie dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy. Dobra robota.

— Znakomita. Niech ludzie wreszcie zaczną patrzeć na siebie, jak na coś ważnego, dla nich samych przede wszystkim, należy skończyć z mentalnością kompostu, fermentującego pod własnym ciężarem w ciemnym silosie.

Jan Duch mieszkał w dzielnicy St. Gilles, przy rue de la Croix de Pierre 32. Ledwie tam się wprowadził, Georgia postanowiła pracować. Nie chciała spędzać dni bezczynnie w towarzystwie męża. Chciała mieć własne pieniądze, posyłać paczki do rodziny. Obserwując jej krzątanie, Duch zastanawiał się, jak wielka próżność tkwi w ludziach, dokonując pozornie dobrych uczynków. Posyłał paczki do rodziny w Polsce — chwalebna rzecz. Ale chodziło przecież o to, i wyłącznie o to, żeby pokazać, że Goergię stać na posyłanie tych paczek. Jej rodzina była zamożna: ojciec był dyrektorem dużej fabryki, miał dobre mieszkanie, nowy samochód, co roku jeździli za granicę, nawet i po dwa razy, ponieważ byli zapałymi wędkowcami. I oto tutaj, z tych nędznych groszy, z zapomogi otrzymywanej od Meri, z zapomogi od urzędu dzielnicowego dla bezrobotnych — ona komponuje dwudziestokilogramowe paczki, wypełnione czymś zupełnie idiotycznym: wspaniałe, kolorowe butle pianki do kąpieli, szampony o egzotycznych na-

zwach, czekolada w blokach, puszkę kawy i kakao...

— Po co im to wszystko? — tłumaczył jej Duch. — I tak kąpią się raz na tydzień, ta pianka niczemu nie służy. Od picia kakao dostaje się zatwardzenia, od czekolady też, a kawy żaden człowiek nie powinien pić, ponieważ jest bardzo szkodliwa. Wysyłasz im same głupstwa i trucizny, a nam tutaj brakuje na podstawowe potrzeby...

— Jesteś głupi — odpowiadała. — My sobie damy tu radę, bo jesteśmy na Zachodzie. Oni się tam zamartwiają o nas, i gdyby wiedzieli, w jakiej norze mieszkamy, to by po prostu nie uwierzyli... Jak dostają taką paczkę, to sobie pomyślą, że dajemy sobie radę, że żyjemy w raj. A co, może jest inaczej?

— Proszę bardzo, posyłał im, co chcesz, ale nie bierz do tego celu moich pieniędzy.

— To nasze wspólne pieniądze.

— Dlatego mam prawo i ja o nich decydować.

— Doskonałe! — zdenerwowała się. — Od tej pory to, co dostajemy, będziemy dzielili na połowę, i każdy rządzi się sam. A oprócz tego to, co zarobię na bólu, należy tylko do mnie.

— Możesz sobie zarabiać nie tylko na bólu, ale i na znak i na wyzwanie — powiedział obojętnie Duch, zastanawiając się jednocześnie, czy nie dalać się wynajść gdzieś osobno mieszkania i odciąć się bez zwłoki od uporczywej idiotki.

Georgia posiadała niebawym, łatwość w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi. Zaczęły się pojawiać na poddaszu jakieś przedziwne figury: gruba kobieta, kalecząca język polski, o dźwięcznym imieniu Eljana, mieszkająca w Belgii od dwudziestu lat, potem jakaś Marokanka, której mąż posiadał warsztat, wykonujący cementowe schody, potem jakiś trener konnej jazdy... Georgia szyla kobietom sukienki, projektowała... znak firmowy dla producenta schodów, rozważała wejście do spółki z koniarzem i otwarciem sklepu z siodłami i uprzęgą... W końcu dotarła do jakiegoś starozakonnego, pochodzącego z Polski, nazwiskiem Weizmann i została jego opiekunką. Staruszek miał już ponad osiemdziesiąt lat, żona umarła o dziesięć lat wcześniej, bardzo eleganckie mieszkanie w dobrej dzielnicy było zapuszczone, pełne papierzyśk i kurzu. Georgia gotowała obiady, sprzątała, wysłuchiwała opowieści starego człowieka, powiedziała mu także o sobie, że maluje i że ma męża poetę. Weizmann ucieszył się bardzo, zaprosił ich oboje do siebie na poważną, jak powiedział, rozmowę.

Chodziło o to, że miał stopy materiałów, dokumentujących losy wnej grupy żydowskiej podczas okupacji, miał także swoje na gorąco spisane pamiętniki. Ale to wszystko było pomieszane, rozrzucone, tysiące kartek i stopy brulionów, listów, dokumentów... Weizmann nie miał już siły do tego bałaganu się dobrać. Od dawna już myślał, żeby kogoś zatrudnić przy porządkowaniu archiwum, ale problem polegał na tym, że większość materiałów była w języku polskim, a w Belgii trudno było znaleźć Polaka o odpowiednich zdolnościach. Teraz, na wiadomość, że Duch wydał kilka książek, oraz był redaktorem w gazetach, Weizmann powiedział:

— O, to właśnie człowiek, którego mi trzeba! Pan mi to wszystko ułoży, posereguluje... ale to nie wszystko. Trzeba z tych rzeczy ułożyć książkę i wydać. I po polsku, i w innych językach. Sam pan zobaczy, jakie to są ciekawe rzeczy...

Duch zapalił się do projektu. Pozostawała jeszcze sprawa wynagrodzenia.

— Niech się pan teraz nad tym nie zastanawia — powiedział Duch, pijąc dobrą herbatę, którą zaparzyła Georgia i jedząc kruche ciasteczka, też przez nią upieczone, ponieważ Weizmann nie lubił „kupnego” pożywienia. — Najpierw zorientuję się, ile pracy to będzie wymagało, zobaczę, czy są możliwości, żeby powstała książka, i dopiero omówimy sprawę honorarium. Nie będę żądał dużo, zapewniam pana.

— Mnie nie chodzi o pieniądze — powiedział Weizmann — bo ja pieniądze mam. Mnie chodzi o pieczołowitą pracę i pojęcie. Pan jest zawodowym pisarzem, pan zna polski, czego więcej mogę żądać? Za kilka miesięcy osiągniemy cel.

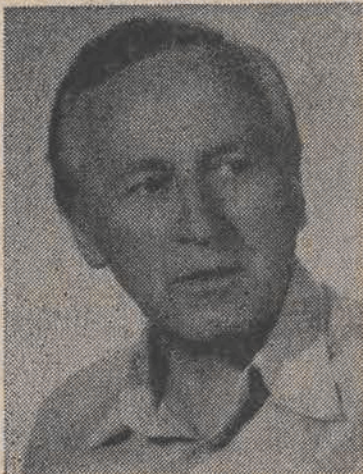
Duch umówił się z Weizmannem za kilka dni, ponieważ staruszek wyjeżdżał do Antwerpii. Georgia była „umna” z siebie, że załatwiła taką dobrą pracę niedobremu Duchowi, a Duch wyobrażał sobie efekty tej pracy, coś w rodzaju nowego „Dziennika Anny Frank”. Sądząc po ilości papierzyśk w kilku pokojach Weizmanna, można by wykreślić mocną rzecz...

Weizmann wrócił i wezwał do siebie Georgię telefonicznie, o dzień wcześniej, niż był umówieni. Po godzinie Georgia wróciła, przegnębiona.

— Co się stało? — zapytał Duch, pewien, że staruszek zachorował.

— On nie chce nas już widzieć — powiedział. — Ktoś mu w Antwerpii powiedział, że jesteś antysemitą i wydzierę. Kazał mi też oddać ten sweter, który mi dał... Sam nalegał, żebyśmy go wzięli, chociaż nie chciałam, bo niemodny, ale dla jego przyjemności zakładałam go, kiedy do niego szłam. Kazał mi zająć i położyć w przedpokoju. Na moje „do widzenia” nie odpowiedział.

C.D.N.



— Pański dorobek filmowy jest imponujący: 54 filmy, obszar zainteresowań rozległy. Czy pan kieruje się w doborze tematów do filmów?

— Przede wszystkim swoimi zainteresowaniami, a interesuje mnie wiele rzeczy. Kocham pejzaż, stąd wzięły się filmy etnograficzne („Chaty jak kwiaty”, „Wiatrak”, „Karczmy i zajazdy”). Spojrzenie rozmiłowanego turysty wędrującego z plecakiem po Polsce sprawiło, że zrobiłem kilka filmów o tematyce turystycznej, propagowałem wiozącą górską („Wyścig ze śmiercią”, „Na Mazurach”), „Śladami Kopernika”; język historyka skłonił mnie do rozwiązywania paru zagadnień historycznych, nurtują-

nie starzeje się tak, jak film fabularny. W przypadku filmu etnograficznego, przeciwnie, czas dodaje mu mocy i aromatu, jak czerwonemu winu. Weźmy pierwsze z brzegu tytuły: „Stała we wsi chaty” czy „Wiatrak” — one pozostaną w historii. Pozostaną dlatego, że nie ma dzisiaj ani takich chat, ani takich wiatraków, ani takich wsi. Może dlatego filmy etnograficzne uważam za najbardziej wartościowe i bliskie memu sercu... Twierdząc, że to co bezpowrotnie ginie na naszych oczach, mam na myśli: kulturę ludową, drewniane zabudówki, pieśni narodowe powinny być utrwalone na taśmie filmowej i przekazane następnym pokoleniom w dziedzictwie, po to

„Jestem krótkodystansowcem”

— rozmowa z EDUARDEM PALCZYŃSKIM, reżyserem filmowym.

— Od 35 lat pracuje pan w łódzkiej WFO realizując filmy krótkometrażowe. Czy nigdy nie korciło pana zrobienie filmu fabularnego?

— Mówiąc o wyborze drogi zawodowej, pozwól sobie na małe odniesienie do igrzysk sportowych. Wydaje mi się, że z samej postury należę do krótkodystansowców. Krótki metraż bardziej mi odpowiada, nie wymaga ani cierpliwości, ani kondycji długodystansowca — fabularzysty. Uświadomiłem to sobie będąc jeszcze studentem szkoły filmowej. Specjalizowałem się w pionie oświatowym. W czasach studenckich zrealizowałem tylko dwa filmy, więc tuż po skończeniu szkoły postanowiłem poddać się „terminatorce zawodowej”, dla nabrania pewności siebie, przed przystąpieniem do poważniejszych zadań.

— Który z filmów uznał pan za debiut autorski?

— „Narty, rips, Zakopane”. Mam ogromny sentyment do tego filmu, myślę, że udał mi się. Został entuzjastycznie przyjęty przez publiczność kinową, zdobył nagrodę — srebrny puchar — na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Górskich w Trento, 1957 r., uzyskał wyróżnienie na I Konkursie Filmów Krajowych w Warszawie w 1959 r., poza tym reprezentował WFO na I Przeglądzie Najlepszych Filmów Polskich X-lecia, obok filmów fabularnych. Proszę pani, ten film zrealizowałem w 1957 r. Przekazy artystyczne tamtych czasów były dość „dretwe”, zarówno w filmach dokumentalnych, oświatowych jak i fabularnych. Mój film zrealizowany był na innych zasadach; był dowcipny i lekki w odbiorze. Inspiracją do jego realizacji były dowcipy na temat narciarstwa. Dzisiejsi widzowie przyzwyczajeni są do tego typu filmów, ale dawniej to był prawdziwy szok...

— Mnie od dawna („Sejm Czteroletni”, „Pieśń niepodległa”, „Walcząca satyra”). Z zainteresowaniem śledzę biografie wielkich ludzi. Składając im hołd, powstał cykl filmów biograficznych („Obłęgorek Henryka Sienkiewicza”, „Maria Konopnicka”, „Mariusz Żaruski — żeglarz — taternik”). Monograficzne filmy wzięły się z potrzeby utrwalenia pięknej architektury niektórych miast w Polsce („Dawny Toruń”, „Kalisz”, „Płyn moja Łódź”). Źródło powstania tych filmów jest analogiczne, jak w przypadku filmów etnograficznych, chciałem ocalić od zapomnienia to, co zafascynowało mnie swą urodą w miejskim pejzażu. Filmy techniczne zmusiły mnie do przełamania postawy humanistycznej wobec świata na korzyść dziedziny odległych od dotychczasowych zainteresowań. Matematyczne, fizyczne zagadnienia musiałem tak zaprezentować widzowi, aby nawet laik zrozumiał istotę poruszonego problemu. Choć sam wiele musiałem się przy tych filmach nauczyć, to satysfakcję sprawiło mi, że „Dzwignię i koło” uznano za wzór filmu szkolnego. Za przyrodniczy cykl („Wiosna”, „Lato”, „Jesień”, „Zima”) otrzymałem podziękowanie z Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Synteza czterech pór roku miała zapoczątkować polską filmatkę szkolną. Filmy rolnicze stanowiły margines mojej twórczości.

— Z perspektywy czasu, do których filmów ma pan szczególny sentyment?

— Każde spojrzenie po latach na film pozostawia uczucie niedosytu. Chciałoby się coś zmieścić; jakiegoś niepotrzebnego słowa wyrzucić z komentarza, podciąć jakąś scenę, ale przy minimalnych formalnych retuszach, powiem nieskromnie: podpisuję się pod swoimi filmami. Stanowią dla mnie nieprzemijalną wartość. Proszę zauważyć, krótki metraż

by funkcjonowały w świadomości narodowej dalej...

— Swego czasu ogłosiłem apel do reżyserów, operatorów, dyrektorów wytwórni filmowych, aby w swoich planach częściej uwzględniali realizację filmów etnograficznych, aby zarejestrowali dla potomnych obraz rzeczywistości, który niedługo trudny będzie do wyobrażenia...

— Myślę, że patriotyczna postawa stanowi spoiwo łączące całą pańską twórczość, emanuje z pana twórczości nie tylko filmowej, ale także poetyckiej i kompozytorskiej.

— Być może tak jest... Chodziłem do szkół, w których patriotyzm był podkreślany na każdym kroku.

— „Pieśnią niepodległą” sprawił pan ogromną przyjemność wszystkim weteranom wojennym.

— To przecież piękne pieśni, które do dzisiaj są śpiewane w wielu domach. Długo czekałem na zatwierdzenie scenariusza do realizacji. Poprzez pieśń pokazano jest 150-letnią walkę naszego narodu o uzyskanie niepodległości. Istnieje czasowa zbieżność tego filmu z „Sejmem Czterolletnim”.

— Obecnie pracuje pan także nad dwoma filmami historycznymi...

— Tak, teraz będę się zmagał z pierwszym i drugim rozbiorem Polski. Chciałbym opowiedzieć jasno i wyraźnie o przebiegu owych rozbiorów, podobnie jak to uczyniłem w „Sejmie Czterolletnim”, poza tym mam w planach film dziecięcy poświęcony sylwestrze Hanny Januszkiewicz.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?



Dzisiaj proponujemy film pt. „Kamienny wyrok”. Ten kanadyjski film grozy reżyserował Osama Rawl. Bohaterką jest kobieta chora na dysleksję (wyraża się m. in. w trudnościach uczucia się, wymowy itp.). Zaangażowana jako gosposia do rodziny bogatego lekarza w Ameryce przeżywa depresję psychiczną, spowodowaną chorobą, która doprowadza ją do wydarzenia nieodwracalnego. Ale to już trzeba obejrzyć w kinie.

Jedni nazywają ten obraz filmem grozy, inni psychodreszczowcem, jednakże bez względu na nazwę jest to film godny obejrzenia.

W filmie występują m. in. Rita Tushingham, Ross Petty, Shelley Peterson, Jessica Steen, Jonathan Crombie i inni. Film dozwolony od 18 lat.



Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

20 października — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

27 października — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

Relacja z dyżuru przy telefonie z dnia 13 października 1988 roku.

Jak każdy dyżur, także i ten przyniósł parę spraw ważnych, kilka mniej ważnych i sporo takich, których nie warto było odnotowywać.

Andrzej Romantowski z ul. A. Struga jest nie tylko rozgryziony, ale i solidnie zrytowany. Otóż w kwietniu br. wykupił w „Orbisie” w Łodzi wczasy w Italii. Pojechał — zgodnie z terminem — w sierpniu. Pojechał z pieskiem, cocker-spanielem. Ale na camping „Germania” pod Wenecją z psami nie przyjmują. Odbił więc z rodziną i wspomnianym pieskiem drogę powrotną. W Łodzi poszedł do „Orbisu” po zwrot waluty, bo przecież z wczasów nie korzystał. Tu dowiedział się, że łódzka placówka jest jedynie pośrednikiem, że w takich sprawach należy pisać do PP „Orbis” Biuro Zagranicznej Turystyki w Warszawie na ulicy Brackiej 16. Pan A. R. napisał. Po miesiącu otrzymał odpowiedź, że pieniądze mu nie zwróci. Pan A. R. nie rozumie, przecież zawarł z „Orbisem” umowę: on płaci, „Orbis” zabezpiecza mu pobyt pod Wenecją. Pan A. R. polecił, ale go nie przyjęto, bo nikt mu w Polsce nie powiedział, że na camping „Germania” pod Wenecją nie wpuszczają psów. I jeszcze jedno: znajomy pana A. R. był na tym samym campingu także z psem i także został odesłany do Polski, ale on przezornie wykupił wczasy w PZMot. A PZMot. koszty — rócił. Więc jak to jest?

Wiesława Rybka podaje, że pod mostem kolejowym na Ząbieniu miało być zbudowane przejście dla ludzi (za torami są ogródki działkowe, tamtejsze spory osobliwych do pracy), zgromadzone nawet sterty materiałów budowlanych. I nic. Wszystko to leży, a ludzie nadal przekraczają przez szyny kolejowe. Pani W. R. twierdzi, że do czasu, bo ktoś nie zdążył i trafił pod koła lokomotywy.

Jan Zeman z Retkini, pyta, dlaczego od ośmiu lat nie świecą lampy w uliczce pomiędzy blokiem 338 a pawilonem spożywczym? Chodzą tamtejsze dzieci ze szkoły i przedszkola, ludzie wracają z pracy. A tu ciemno, że oko wykolił Pan J. Z. przy okazji pochwalili nasze pismo. Powiedział, że niegdyś namówił do czytania „Odgłosów” swego koleżę i dziś kolega jest mu za to wdzięczny.

Włodzimierz Krawczyk z Dzierżynskiego 24 skarżył się na kierowców, którzy jeżdżą osiedlową uliczką, na której obowiązuje zakaz poruszania się wszelkich pojazdów. A tam obok jest przedszkole i szkoła. Samochody rozpędzają te dzieci trąbią. Zimą dzieciarnia buduje nawet barykady, by zatrzymać ruch samochodowy, ale to nie na wiele się zdaje. Mój komentarz jest taki: może by stanął tam milicjant z grubym blokiem mandatów?

Marian Pająk z Retkini — Śródmieście irytuje się, że na parking przy ul. Tomaszewicza obok bloku 165 ustawiono baraki budowlane, zwyczajne budy, w których zainstalowano gry komputerowe. Osiedle jest ładne, a te budy są nieestetyczne, brzydkie, szpecące. Gospodarzem terenu jest Spółdzielnia Mieszkaniowa „Polesie”, ale — jak twierdzi pan M. P. — Spółdzielnia zezwolenia na postawienie tych bud nie wydawała. Więc k'o? Może zatem Naczelnik Dzielnicy Łódź — Polesie odowie na to pytanie?

Eugeniusz Gabinowski z ul. Rzgowskiej powiedział mi, że może zrozumieć brak cukru na rynku, natomiast nie rozumie, dlaczego nie ma szarego mydła do prania. Emeryci i renciści nie zawsze mogą oddawać biletów do pralni, bo ceny dziś są spore, więc piorą w domu. Teraz są w rozpacz, bo nagle nigdzie nie ma zwykłego, szarego mydła.

R. R. (imię i nazwisko do wiadomości redakcji) mieszkając w Bełchatowie zadzwonił po

przebiegu ostatniego numeru „Odgłosów”. Zbulwersowały go wiadomości zamieszczone w przeglądzie prasy. Otóż pan R. R. widzi co roku pielgrzymki do Częstochowy, nad którymi powiewają transparenty z napisami np. „Komuna na kolana”. To go wkurza, bo przecież Kościół nie powinien zajmować się polityką, nie powinien dopuszczać do jątrzenia wśród społeczeństwa. Inna rzecz, która pana R. R. denerwuje: jak to jest możliwe, że Lech Wałęsa uważa się za przywódcę klasy robotniczej? On, bogacz, ma reprezentować interesy pana R. R., któremu nie zawsze starcza do pierwszego? I to ma być ten pluralizm?

Stanisław Młynarczyk z Piotrkowa Tryb. obok wielu słów pochwały pod adresem naszego pisma prosił o pomoc w do-

prowadzeniu jego sprawy spadkowej do pomyślnego zakończenia. Poradziłem, aby osobiście zgłosił się do redakcji, ponieważ rzecz jest poważna i wymaga szczegółowego omówienia.

R. Z. (imię i nazwisko do wiadomości redakcji) zgłosił sprawę, naszym zdaniem ważną z punktu widzenia wychowania społecznego, którą postaramy się zająć odrębnie.

Lucyna Przeniosła z ul. Zbaraskiej 4 m. 12 prosi o pomoc, gdyż od trzech lat sąsiadzi zalewają jej mieszkanie. Może więc Spółdzielnia Mieszkaniowa „Zarzew” odpowie na tę skargę bezradnej kobiety?

Grzegorz Szczepanik z Bełchatowa, z Osiedla Dolnośląskiego skarży się, że na osiedlu są 4 aparaty telefoniczne (w sklepach i restauracji), ale są nieczynne. Co ma robić człowiek chcąc w nocy wezwać pogotowie ratunkowe? Czy nie można byłoby zainstalować telefonów — automatów na zewnątrz budynków, jak to się praktykuje w innych miastach?

EUGENIUSZ IWANICKI



Tylko

od 5 października do 15 listopada br.

KAŻDY ZAKUP

* KAWY *

ziarnistej, mielonej, instant

o wadze od 1 kg wzwyż

TANŹSZY O 10 PROC.

Zapraszamy do wszystkich sklepów prowadzących sprzedaż artykułów spożywczych.

2854 K

Baltona

PHU „OTEX” w Łodzi

PHZ „BALTONA” SA w Gdyni

ZAPRASZAJĄ

do swoich sklepów, polecając:

— ul. ZGIERSKA 22

- * sprzęt RTV i audiowizualny
- * kasety video
- * art. kosmetyczne
- * zegary i zegarki
- * zabawki i kalkulatory

sklep czynny w godz. 10—18 w soboty, w godz. 10—15

— ul. ZGIERSKA 11

- * art. spożywcze
- * napoje

sklep czynny w godz. 10—18 w soboty, w godz. 10—15

ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW!

2494 F

• polemiki • listy • opinie •

• polemiki • listy • opinie •

ZAPOMNIANA PIEŚŃ

Na cześć Józefa Piłsudskiego, Bogusław Szul stworzył „Pieśń Legionów”. Została ona zapomniana. Pieśń tę śpiewano na melodię „Mazurka Dąbrowskiego”.
Oto tekst tej pieśni:

PIEŚŃ LEGIONÓW

Jeszcze Polska nie zginęła,
póki my żyjemy
co nam obca przemoc wzięła
szablą odbierzemy.
Marsz, marsz Piłsudski
Prowadź na bóg krwawy,
za twym przewodem
wejdziesz do Warszawy.

Tyś nas wezwał do oręża,
tyś zbudził rycerzy,
przekonałeś, że zwycięża
tylko ten kto wierzy.
Marsz, marsz Piłsudski itd.

Wstali strzelcy legionści
na twoje zawołanie.
Dziś zwycięstwo nam się ziszczy,
Polska zmartwychwstanie.
Marsz, marsz Piłsudski itd.

Skruszmy wnet moskiewskie pięta,
będziemy żyć w swobodzie,
naszą sprawą, sprawą świętą
słuchaj nas, narodo.

Marsz, marsz Piłsudski itd.
„Pieśń Legionów” opublikował miesięcznik „Teatr Ludowy” w nr 11 z 1938 r. z okazji ówczesnego XX-lecia święta Niepodległości.

KAZIMIERZ BULHAK
(Otmuchów)

POZWÓLMY ORGANOM BRZMIEĆ PEŁNĄ URODĄ DŹWIEKU

Koncerty muzyki organowej są w naszej powojennej kulturze muzycznej elementem całkowicie nowym. Letnie koncerty organowe, lub koncerty o charakterze mieszanym z udziałem solistów, zespołów kameralnych czy chórów, mają jeszcze jedno, bardzo ważne społeczne znaczenie — oto w znakomitej większości miejsc, gdzie się odbywają, stanowią jedyną propozycję o wysokich walorach artystycznych, adresowaną do miejscowej ludności i wczasowiczów.

By można było organizować koncerty organowe, należy spełnić trzy podstawowe warunki: mieć miejsce, instrument i pianistę. Nie najgorzej przedstawia się rzecz, gdy chodzi o miejsce koncertowania — wykorzystuje się latem tak ciekawe ośrodki, jak np. leśniczówka Pranie, pałacyk w Antoninku, itp., jednakże dla wykonywania muzyki organowej podstawowe znaczenie ma stan i przydatność organów. I tu sytuacja przedstawia się bardzo różnie.

Posłużmy się przykładami. Z pewnością najslawniejsze organy oliwskie, które są miejscem stałych koncertów od bardzo dawna (od 1857 roku Festiwal, organizowany przez Filharmonię Bałtycką, a pierwszy koncert publiczny, jaki udało się udokumentować, odbył się 27 lipca 1946 roku z okazji „Dni Morza” Grał wtedy Jan Kucharski). Niewątpliwie też właśnie tej formie artystycznego wykorzystania zawdzięczają organy ten swój bardzo dobry stan techniczny. Instrument jest regularnie konserwowany, uszerebkowane są na bieżąco.

Zupełnie inaczej, wręcz dramatycznie przedstawia się sytuacja w Kamieniu Pomorskim, gdzie organizowany od 24 lat Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej nabiera szczególnego rozmachu i cieszy się też ogromnym powodzeniem. Zauważając wielkie sławy organy kamieńskie dożywają swych dni. Są oczywiście naprawiane i konserwowane, tyle że te doraźne naprawy polegające na łataniu rozsypanych się mechanizmów, pozwalają z dużym prawdopodobieństwem przewidywać dzień (może miesiąc lub rok), kiedy grać się na nich już po prostu nie da. Jak mi wiadomo, sformułowane zostały plany rekonstrukcji tego instrumentu, polegające na koniecznej wymianie całego „grającego” wnętrza. Na razie nie znalaziono środków.

Nieco młodszą od kamieńską jest festiwal odbywający się w Katedrze w Koszalinie. Tu przynajmniej w bardzo dobrym instrumentie ze świdnickiej wytwórni Schlägla, wymieniono niesprawne traktury gry, ale pracy nie dokończono. „Odkręty” przed niewielu laty instrument w Darłowie czeka jak dotąd na swego uzdrowiciela, a szkoda. Od kilku lat cyklicznych koncertów organowych dożył się również Słupsk. Wnętrze bardzo akustycznego i pięknego kościoła św. Jacka wyjątkowo wprost sprzyja wykonywaniu w nim muzyki. Same organy, których prospekt jest zminiaturyzowaną repliką organów w Kamieniu Pomorskim, mają niewątpliwie zalety brzmieniowe i sporo niedostatków.

Slawna Katedra Fromborska z historycznymi organami z warsztatu Nitrowskiego od dawna jest miejscem koncertów i wycieczek niewiele tylko ustępując pod tym względem Katedrze w Oliwie. Swój „odkryciem” okazały się organy w Głivicu (w kościele ewangelickim); instrument E. Kempera, średniej wielkości, ma niewątpliwie wiele zalet. Natomiast srodze się rozczarowałem organami w Suwałkach (również w kościele ewangelickim) — mały instrument był dopiero poddawany zabiegom remontowo-konserwatorskim. Podobnie rzecz się ma z instrumentem w urokliwej świątyni Wang w Bierutowicach, gdzie zabiegi o organizowanie koncertów na tak atrakcyjnym turystycznie terenie wydały wreszcie rezultaty.

Od dość dawna ozdoba nieco sennego latem Kazimierza, nad Wisłą są koncerty, które w kościele farnym pozwalają rozkoszować się brzmieniem jednego z bardzo już niewielu autentycznych instrumentów z XVII wieku, piecizolowiec odrestaurowanego pod czujnym okiem doc. dr ks. J. Chwałki. Filharmonia Krakowska koncertuje latem w Opactwie Benedyktynów w Tylicu. Organizowane są latem koncerty w Zakopanem, Wile i wielu innych miejscowościach.

Niewątpliwie miejsce, jakie muzyce organowej przypada w oświeconej kulturze, jest wręcz marginalne. Faktem jest bardzo żywy stan przeważającej ilości organów (także tych zabytkowych). „Dla użytku kościelnego wystarczą” — pada często wyjaśnienie. Wreszcie sprawa może najważniejsza. Grając koncerty w kościołach mam zawsze świadomość, że muzyka moja dociera do tych, którzy nie przestają progu filharmonii (lub czynią to niezmiennie rzadko). Dlatego ta działalność, nasilająca się głównie latem i na terenach turystycznych jest tak ważna. Dodać należy, że koncerty tych słuchają również pilnie bardzo liczni furtwyci z zagranicy.

Gdzie więc i kto organizuje również koncerty w imię najszlachetniejszego rozumienia kultury i kultu Kościoła? Byłbym zadowolony, gdybyśmy sobie niebawem wręczyli pod tym względem rozmach w niektórych ośrodkach. Oto najważniejsze z nich:

— Bazylika Mariacka i Kościół OO. Dominikanów w Gdań-

sku. W obydwu tych kościołach są bardzo dobre nowe organy, zbudowane przez firmy niemieckie;

— Kościół Serca Jezusowego w Gdyni (organy stosunkowo nowe, zbudowane przez polską firmę Z. Kamiński);

— Kościół OO. Chrystusowców we Władysławowie (nowe organy firmy Z. Kamiński, koncerty odbywają się od 13 lat);

— Katedra w Olsztynie;

— Kościół św. Rodziny w Radomiu (nowe organy firmy W. Truszczyński. Niekiedy koncerty firmuje Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Woj.);

— Kościół w Krynicy;

— Kościół w Kartuzach;

i wiele innych, o których moje informacje są jednak niepełne. Jak z tego pobieżnego przeglądu wynika najlepiej sytuacja przedstawia się w pasie nadmorskim. Są jednak i inne, piękne regiony turystyczne i są tam też organy, ale koncerty się nie odbywają.

Postawmy wreszcie kropkę nad „i”. Kościoły wyposaża się wielkim kosztem na ogół w instrumenty przystosowane do spełniania wielu różnych zadań. Używając ich jedynie dla celów liturgicznych. Pozwólmy organom brzmieć pełną urodą ich dźwięku.

MIROSLAW PIETKIEWICZ

„GDZIE JEST SMOLEŃ?”

W związku z artykułem, który ukazał się w nr 41 „Odgłosów”, pisma Andrzeja Gębarowskiego pt. „Gdzie jest Smoleń” uprzejmie wyjaśniamy, że:

1. W lipcu br. na terenie województw ślupskiego i koszalińskiego realizowaliśmy trasę koncertową kabaretu pt. „Lot nad wronim gniazdem”.

2. W celu kolportażu biletów na tę trasę skorzystaliśmy z usług kolportera ob. Marzeny Pawlickiej.

3. Ob. Pawlicka nigdy nie była, nie jest i nie będzie naszym pracownikiem.

4. Z ob. Pawlicką łączyła nas cywilno-prawna umowa zlecenia, taka jaka np. łączy zlecającego wykonanie usługi z wykonującym tę usługę rzemieślnikiem.

5. W czasie działania ob. Pawlickiej doszło do karygodnych i całkowicie samowolnych z jej strony działań, o których, na ogół zgodnie z faktami, mówił Wasz artykuł.

6. Zaden ze współpracowników „Uni-Artu” nie wiedział o tych nieodpowiedzialnych działaniach ob. Pawlickiej ani ich nie inspirował.

7. Niewątpliwie głównym poszkodowanym w tej aferze (zarówno finansowo, jak i w odniesieniu do opinii firmy) jest „Uni-Art”. Z całą pewnością poszkodowanym jest również wybitny artysta estrady pan Bogdan Smoleń.

8. Agencja „Uni-Art” natychmiast po otrzymaniu wiadomości o samowolności, niezgodnej z umową zlecenia, działalności ob. Pawlickiej przerwała tę działalność odwołując dalszą część tras koncertowej.

9. Ponieważ ob. Pawlicka w sposób oczywisty dopuściła się czynu niedozwolonego, o którym mowa w art. 415 Kodeksu Cywilnego, spółka „Uni-Art” dn. 29.09.1988 skierowała przeciwko Marzenie Pawlickiej pozew do sądu.

10. Z uwagi na otrzymanie sygnału od reprezentującej o. Bogdana Smoleń firmę „Marketeam”, iż uważa się on za obrażonego, w naszym pozwie do sądu uwzględniliśmy także interesy p. Smoleń, maksymalnie jak tylko pozwalała na to Kodeks Cywilny.

11. Na ręce p. Bogdana Smoleń skierowaliśmy list, w którym:

— wyjaśniamy całą sprawę,

— wyrażamy ubolewanie wobec p. Smoleń,

— zwracamy się do p. Smoleń o jego ewentualny udział w charakterze strony przypozywanej, w procesie przeciwko ob. Pawlickiej — winnej całej afery.

12. W tej sytuacji, z uwagi na brak jakichkolwiek zażądań czy uchyleń z naszej strony w całej tej sprawie, prosimy redakcję „Odgłosów” o podanie naszego wyjaśnienia do wiadomości publicznej.

13. W załączeniu przesyłamy kopię pozwu do sądu oraz kopie naszego listu do p. Bogdana Smoleń — do wykorzystania przez redakcję zgodnie z uznaniem.

Pozostajemy z szacunkiem

ZARZĄD

P.U.H. „Uni-Art” Sp. z o.o. w Łodzi

GDZIE OSZCZĘDZĄC?

Tyle u nas mówi się, pisze i zachęca do oszczędzania — najlepiej w PKO. A mnie się wydaje, że sama instytucja PKO skutecznie nas od tego odzwyczaja i zniechęca. Oto przykład: dostałem wezwanie, by zgłosić się z moją książeczką oszczędnościową, numer taki to i taki ul. Kościuski 15 w celu sprawdzenia. Jadę na swój koszt, tracę czas, tam mi książeczkę zatrzymują na tydzień. Po tygodniu znów muszę jechać do nich, oddaję mi książeczkę bez słowa wyjaśnienia czy przeproszenia (choćby za tracący czas). Na moje żądanie panią z okienka powiedziała, że ostatnia wpłata (5000 zł) nie została umieszczona w jakiejś tam „cedule”.

Lekko się podenerwowałem, bo niby co mnie obchodzi, że jakaś tam niedyscyplinowana pracownica PKO czy poczty źle pracuje. Nie moja to już wina, proszę mi wierzyć, że przestałem być klientem PKO. Wybrałem do końca moje oszczędności z książeczek i już nigdy nie skorzystam z usług PKO. Oszczędności wolę lokować inaczej, ponieważ PKO zupełnie nie liczy się ze swoimi klientami, załatwiają tak, jakby robili jakąś kasę. Nie tylko sam nie będę oszczędzał w PKO, ale jeszcze kogoś się da przekonać o biurokracji panującej w tej usługowej przecież instytucji.

STEFAN BURZYŃSKI

NA INNYCH ŁAMACH

„ROZDROŻA HISTORI”

„Rozdroża historii” to nowy cykl publikacji na łamach miesięcznika „Literatura”, który prezentować będzie teksty poświęcone momentom zwrotnym w dziejach Polski. Nie poprzestaną one na opisie najważniejszych, przełomowych wydarzeń. Przedstawiają rzecz w historii najistotniejszą i najciekawszą: rządzące nią mechanizmy dziejów i wypełniające je konkretne ludzkie motywacje.

Podstawową wadą naszej szkolnej i akademickiej nauki historii jest jej statyczność, operowanie prawdami objawionymi, poglądem, że historia jest tylko jedna. Ciężko nad takim wykładem zmora determinizmu, sugerująca, że wszystko co się dokonało było nieuniknione. Jak mało jest to atrakcyjna wizja dla rodaków Tadeusza Kościuszki, Piotra Wysockiego i Romualda Traugutta, nie trzeba długo udowadniać. Wszak wynika z niej, że wszystkie tragiczne momenty w dziejach Polski były niejako z góry przeznaczone: poczynając od rozbiorów, przez klęskę 1939 roku, a na okresie stalinizmu kończąc. Smutny musi być efekt dydaktyczny takiej nauki. Nieodparcie bowiem nąsują się wnioski, że wszelkie próby ludzkiej aktywności pozbawione są sensu.

Tymczasem historia, tak jak i polityka, jest bezustannym wyborem. Dlaczego więc ograniczać jej wykład tylko do scenariuszy spełnionych? Nie mniej ciekawe, a może nawet bardziej pasjonujące jest przytoczenie rozwiązań alternatywnych. Nie chodzi o zupełnie dowolne fantazjowanie na temat przeszłości, jak w „Muzeum dalekich podróży” Teodora Parnickiego, ukazujące Królestwo Polskie po zwycięskim powstaniu listopadowym, gdzie Prądzyński jest dyktatorem, a Mickiewicz ministrem oświaty nie dopuszczającym do szkół dramatów Słowackiego.

Tematem „Rozdroża” będą autentyczne wybory i to te najważniejsze, przesądzające o obliczu całych stuleci. Mógł przecież Mieszko przyjąć chrześcijaństwo z Bizancjum, nie z Rzymu. Mógł go w ogóle nie sprowadzać, choć to ostatnie rozwiązanie byłoby na krótką bardzo metę. Każda z tych decyzji pociągała określone konsekwencje. Zadaniem „Rozdroża” będzie właśnie próba ich ukazania. Poszczególne szkice mają także wyjaśnić motywację podejmowania takich, a nie innych decyzji i określić jak były one ważkie w skutkach.

Nie zawsze zresztą ów moment przełomowy jest tak oczywisty, jak w przypadku przyjęcia chrześcijaństwa. O wiele trudniej np. jest odpowiedzieć na pytanie, kiedy Rzeczpospolita zaczęła zmierzać ku katastrofie rozbiorów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że kiedyś musiało zaistnieć owo „rozdroże”, do którego państwo prosperowało dobrze, a od którego jego mechanizmy zaczęły szwankować. Obserwacja tego procesu od czasów saskich jest zwykłym nieporozumieniem. Rzeczpospolita była już wówczas chora i to śmiertelnie. Kiedy więc wkraczała na tę równię pochyłą? W czasie wojny kokoszej? W chwili wymarcia dynastii Jagiellonów? W momencie rokoczu Zbyszewskiego? W czasie powstania Chmielnickiego? A może ostatnią szansę uratowania państwa przegapił Jan III?

Takie pytania można mnożyć i to co najmniej w kilkunastu momentach największych polskich zakrętów dziejowych. I to właśnie jest celem „Rozdroża”. Nie na wszystkie wątpliwości przyniosła one odpowiedź. Nie dlatego, by nie starczało wiedzy i kompetencji autorom. Będą bowiem nimi najwybitniejsi polscy historycy: Antoni Czubiński, Eugeniusz Drużewski, Aleksander Gieysztor, Józef Gierowski, Jarema Maciszewski, Henryk Samsonowicz, Władysław Sercy, Janusz Tabir, Jerzy Topolski, Tadeusz Wasilewski, Andrzej Zahorski. A to zalety początek listy liczącej kilkanaście nazwisk. Nie na wszystkie pytania w historii można jednak odpowiedzieć. Ale z ich formułowania rezygnować nie wolno.

„Rozdroża” mają stanowić pomoc dla nauczycieli historii oraz zachęcić czytelnika, zwłaszcza młodego, do myślenia. Mają uświadomić mu skalę i wagę podejmowanych przez przodków kraju decyzji. Mają kształtować postawy współczesności, gdzie w bierność i stanie z boku. Skoro bowiem zawsze historia była zbiorem różnych szans, raz przez przodków wykorzystanych, raz zaprzeczonych, to warto przecież zastanowić się nad tym, czy i dziś nie znajdujemy się na kolejnym bardzo ważnym „rozdrożu”.

Będą więc szkice w tym cyklu zamieszczane pokazywać historię żywą. Daleką od kartek, wypełnionych faktami, podręcznika którego trzeba się nauczyć, nawet niewiele rozumiejąc. Kolejne teksty będące spotkaniem z dyktamentami dziadów i pradziadów, powinny ułatwić zrozumienie historii i przez to stanowić pomoc do lepszego jej poznania.

Druk cyklu „Rozdroża historii” rozpoczęła „Literatura” w swym numerze sierpniowym.

„FAKTY” W PAŹDZIERNIKU

Redakcja tygodnika społeczno-kulturalnego „Fakty” rozpoczyna w październiku druk nieznaną jeszcze w Polsce powieść Fredericka Forsytha „Akta Odessy”, w której autor „Dnia szakala” przedstawia sensacyjną historię tajnej organizacji byłych członków SS (w skrócie: ODESSA).

„Fakty” kontynuują także publikację biografii Johna Lenona, której autorem jest amerykański historyk literatury Albert Goldman, który ukazuje nieznane, skandaliczne strony życia lidera zespołu „The Beatles”.

W nowym cyklu „Bliżej historii” ukaza się w najbliższym czasie publikację na temat paktu Ribbentrop — Molotow, Sejm Wielkiego, rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę w roku 1918 oraz poruszające kwestie niemieckiej roli narodowościowej na Pomorzu. Cykl, adresowany do nauczycieli historii, uczniów szkół średnich i studentów kierunków humanistycznych, może zainteresować wszystkich miłośników przeszłości. Do jego redagowania zaproszeni zostali wybitni historycy.

Z historią związane są również fragmenty nowej powieści Wiesława Rogowskiego „Odmiana”, w której ukazane zostały wydarzenia z bydgoskiego października 1936 roku.

W każdym numerze pisma aktualne reportaży, artykuły publicystyczne, felietony, recenzje oraz konkurs literacki i tygodniowy program TV. Cena tygodnika „Fakty” — tylko 35 zł.

UCHWAŁA

KLUBU KOMBATANTÓW PRZY ŁÓDZKIM KOMITECIE STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO Z DN. 9 WRZEŚNIA 1988 R.

Kombatanci-członkowie Stronnictwa Demokratycznego zebrani w 49 rocznicę agresji Niemiec hitlerowskich na Polskę, nawołując do apelu łódzkich kombatantów i młodzieży z dnia 5 września 1988 roku w sprawie budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź” — wyrażają niepokój z powodu przedłużającego się tempa prac przygotowawczych budowy tego pomnika.

W związku z powyższym zgodnie z uchwałą Prezydium Łódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego z dn. 3 lutego 1988 roku w sprawie udziału bazy społecznej Stronnictwa Demokratycznego w budowie pomnika, zgłaszamy wniosek o rozpatrzenie sprawy opóźnień na posiedzeniu Prezydium ŁK SD, ZBoWiD, PRON i innych organizacji społecznych.

W imieniu członków Klubu i Zarządu
dr ZDZISŁAW ZIENIEWICZ

URZĄD MIASTA ŁODZI WYJAŚNIA

W odpowiedzi na Wasze pismo z dnia 09.09.88. Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi informuje, iż nie sprawuje merytorycznego nadzoru nad działalnością „uzdrawiaczy”.

Organami powołanymi do zalecia się podobnymi sprawami są Urząd Skarbowy i Prokuratura.

Z uwagi na brak bliższych danych „uzdrawiaczki” wydział nie powiadomił wskazanych wyżej instytucji.

Z-ca dyrektora Wydziału ds. Lecznictwa
lek. TADEUSZ RZEŚNIEWSKI

espero

SPÓŁKA
Z O.O.

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-HANDLOWE

JEDNOSTKA GOSPODARKI USPOŁECZNIONEJ

Oddział w ŁODZI

ORAZ CHOJEŃSKI KLUB SPORTOWY

Z A P R A S Z A J A D O:

OŚRODKA REHABILITACJI MEDYCZNEJ
I ODNOWY BIOLOGICZNEJ

w Łodzi, ul. Kosynierów Gdynskich 18
telefon 84-87-83

O F E R U J E M Y:

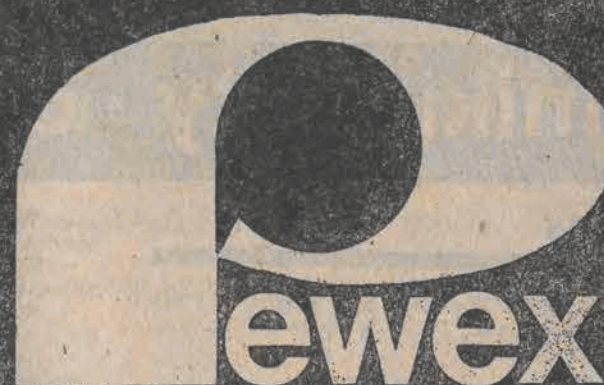
- KONSULTACJE LEKARZA SPECJALISTY DS. REHABILITACJI
LECZNICZEJ I MEDYCZYNY MANUALNEJ
doc. med. Paweł Wieczorek,
- BLOKADY PRZECIWBÓŁOWE,
- TERAPIA MANUALNA
(mobilizacja i manipulacja stawów)
- GABINET KINEZYTERAPII
(gimnastyka indywidualna dla dzieci i dorosłych),
- GABINET FIZYKOTERAPII
(światłolecznictwo, ciepłolecznictwo, elektrolecznictwo),
- GABINETY MASAŻU,
- ZABIEGI WODOLECZNICZE
(natryski, kąpiele solankowe, wirówki, masaże podwodne),
- GIMNASTYKA KOREKCYJNA DLA DZIECI (sobota),
- SAUNA

Z A J Ę C I A R E K R E A C Y J N E

- GIMNASTYKA ZESPOŁOWA DLA KOBIET I MĘŻCZYZN
(otyłość, bóle krzyża, gimnastyka rekreacyjno-relaksacyjna, aerobic),
- WYCIECZKI DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ I ZAKŁADÓW
PRACY.

Zamiejscowym, po telefonicznym uzgodnieniu gwarantujemy noclegi w naszym hotelu.

2912/K



UWAGA RZEMIEŚLNICY

W dniach 17-31 października
DZIANINA PODPINKOWA

„BIAŁY BARANEK”

20%

o taniej

2911 K

BIURO REZERWACJI I SPRZEDAŻY Łódź, ul. Piotrkowska 122

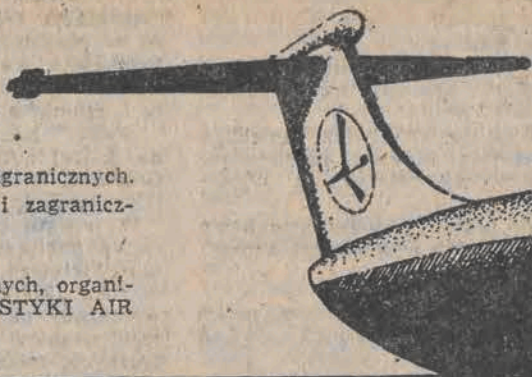
INFORMACJA, REZERWACJA — tel. 33-48-15
33-99-98
AIR TOURS — tel. 33-48-59
TLX 886155 LOT PL

Z A P R A S Z A

codziennie w godz. 9-17, w soboty w godz. 10-14,
AIR TOURS w godz. 12-16.

Polecamy nasze usługi:

- Informacje na temat lotów krajowych i zagranicznych.
- Rezerwacje miejsc w samolotach polskich i zagranicznych liniach lotniczych.
- Bilety lotnicze na wszystkie trasy świata.
- Udział w atrakcyjnych imprezach turystycznych, organizowanych przez LOTNICZE BIURO TURYSTYKI AIR TOURS.



TAŃSZY ZAKUP!

od 5 października do 15 listopada br.

- * ŁÓDŹ,
- * ŁÓDŹ,
- * PIOTRKÓW TRYBUNALSKI,
- * SKIERNIEWICE,

w sklepach:

Marynarska 4
Piotrkowska 143
Rynek Trybunalski 7
Mszczonowska 30/32

- * KASET VIDEO
- * TELEWIZORÓW
- * MAGNETOWIDÓW
- * KOLUMN GŁOŚNIKOWYCH
- * RADIOMAGNETOFONÓW

Szczegóły w sklepie.

ZAPRASZAMY!
2853 K

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy

INCOM

SPÓŁKA Z O.O. (J.G.U.)

90-047 Łódź, plac Zwycięstwa nr 13
tel. 74-24-28, 74-30-38

P R O P O N U J E

* SERWIS PATENTOWY *

w zakresie:

- badania stanu techniki dla podejmowanych nowych tematów
- a) w literaturze ogólnej,
- b) w literaturze patentowej,
- badania czystości patentowej produkowanych wyrobów,
- opracowywanie i zgłaszanie do ochrony w Urzędzie Patentowym PRL nowych rozwiązań,
- opracowywanie i zgłaszanie do ochrony w Urzędach Patentowych zagranicznych.

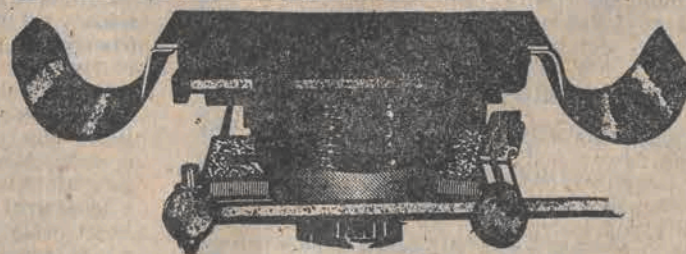
„INCOM” podejmuje się opracować

- wzory zdobnicze i wzory użytkowe na wyroby konfekcyjne, które produkowane są przez Przedsiębiorstwa Polonijno-Zagraniczne, Spółki, Spółdzielnie.

Uzyskane prawo ochronne daje prawa wyłączne na dany wzór.
Dysponujemy kadrą specjalistów o wysokich kwalifikacjach.

2913/K

UWAGA FOTOAMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY,

jeżeli

- z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!
- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światłowych,
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych,
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
Z A P R A S Z A !

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

Niech mi Lucjusz Włodkowski — który nie lubi rocznic — wybaczy rocznicowy nieco charakter tego szkicu, ale 2 grudnia 1863 r. (a więc 125 lat temu) rozpoczęła się historia łódzkiej prasy. Wówczas to przybył z Niemiec, drukarz i litograf Johann Petersilge wydał pierwszy numer pierwszego w Łodzi czasopisma w języku polskim i niemieckim pod równie dwujęzycznym tytułem „Łódzkie Ogłoszenia. Łódzer Anzeiger”. Pismo ukazywało się początkowo dwa razy, a od 26 kwietnia 1864 r. trzy razy w tygodniu.

Czterostronicową treść każdego numeru wypełniały „rozporządzenia policyjne, które dotychczas ogłaszane przez bęben, częstokroć fałszywie pojmowane, późno do wiadomości osób zainteresowanych dochodziły, narażając publiczność na nieporozumienia, nieprzyjemności i straty”. W dalszej kolejności ukazywały się postanowienia magistratu, uprzednio również obwieszczone na rynkach i znaczących ulicach miasta przez urzędnika magistrackiego poprzedzanego przez bębniącego w bęben dobosza. Bogata była część informacyjno-ogłoszeniowa. Od czasu do czasu pojawiały się drobne felietony i opowiadania pióra miejscowego nauczyciela Franciszka Rybki, podpisującego się kryptonimem F.R.

W prospekcie ogłoszonym wcześniej przez drukarza zapowiadano:

„Pismo to jako przeznaczone prawie wyłącznie dla rozwoju interesów przemysłowo-handlowych wtedy tylko istnieje może, jeżeli zyska w publiczności należyte uznanie. Dlatego każdy mieszkaniec naszego miasta powinien by poczuwać się do obowiązku popierania przedsięwzięcia, mającego na celu zarządzenie wielkiej potrzeby, której konieczność i użyteczność nie ulega żadnej wątpliwości”.

Miedzy ogłoszeniami policyjnymi uwagę naszą zwraca zakaz

Z różnych szuflad

Od „Łódzkich Ogłoszeń” do naszych dni

noszenia przez kobiety „sukien czarnych oraz czarnych z białym, a nawet i kolorowych, obszytych czarną taśmą”, „rękawów czarnych z białym, kołnierzyków białych lub chusteczek z czarnym obszyciem, kapeluszy czarnych i z białymi przyborami”, różnych emblematów patriotycznych np. krzyżyków czy spinek z podobizną orła białego lub korony cierniowej. Mężczyznom zabroniono noszenia czamarek jako stroju naśladującego ubiór powstańcy. Ogłoszenia te treści wyraźnie określały stosunek władz carskich i policji do nastrojów społecznych, przejawiających się w demonstracjach religijnych i żałobie narodowej jako formach protestu przeciw represjom carskim wobec polimanych uczestników powstania styczniowego.

Ręchło posypały się wysokie kary pieniężne. Od 10 do 50 rubli za noszenie zakazanych strojów i od 10 do 100 rubli za udział w nabożeństwie żałobnym odprawionym w miejscowym kościele wraz z podaniem nazwisk „winowajców” do wiadomości publicznej na łamach „Łódzkich Ogłoszeń”. Stąd wiemy np., że niejaki Konstanty Gembicki nie poddał się represjom i mimo kary (5.11.1864) nadal nosił czamarkę, czym zasłużył sobie na ponowną karę w wysokości kolejnych 50 rubli (17.11.1864).

Wśród obwieszczeń magistratu miasta Łodzi znajdujemy zarządzenie o zakazie palenia tytoniu w odkrytych fajkach oraz cygar w lesie miejskim, ponieważ wedle przepisów nie wolno palić tytoniu w lesie iglastym (a takim był ówczesny las miejski) w okresie od wiosny do jesieni. Osoby naruszające ten zakaz, a dostrzeżone przez służbę leśną, podlegały karze od 25 kopejek do 5 rubli (1864, nr 54). Stróż domów zobowiązani byli również do pilnowania, by nikt nie palił koło domu powierzchnię ich opiece „fajki, cygara, papierosów”. Mieli też pomagać miejscowej policji w dozorze, „aby psy nie gromadziły się po ulicach i placach, jeżeli zaś to nastąpi należy je roznosić”, „aby przekupiarze (!) zatrzymywali się na wskazanych im miejscach”. Każdy drożdż winien „zwracać uwagę, aby małe dzieci nie pozostawały na ulicach i odprowadzać je do rodziców lub do osób, przy których też dzieci się znajdują”.

Zdarzały się czasem w „Łódzkich Ogłoszeniach” niezbyt pochlebne dla ogółu sławetnych rajców miejskich obwieszczenia prezidenta Roskiego:

„W dniu dzisiejszym (tzn. 13 sierpnia 1864 r. — AK) zwycięskiego posiedzenia Rady Miejskiej nie było, gdyż żaden z członków Rady Miejskiej do sali posiedzeń magistratu nie przybył” (1864, nr 84).

Zabrakło natomiast w druku jakiegokolwiek informacji o wyrokach śmierci, wykonanych w Łodzi na uczestników powstania styczniowego: kpt. Janie Birtusie, rozstrzelanym 8 grudnia 1863 r., czy o kontrolerze tabacznym Ignacym Radziejewskim, powstańcu naczelniku miasta, rozstrzelanym 16 lutego 1864 r.

Warto przypomnieć, że 19 kwietnia 1864 r. został w Łodzi uruchomiony telegraf, początkowo tylko dla korespondencji krajowych, wkrótce również dla zagranicznych. Telegramy były przyjmowane w językach polskim, rosyjskim i niemieckim, zaś pierwszy telegram został skierowany do hr. Fiodora Fiodorowicza Bera, namiestnika carskiego w Królestwie Polskim, a treść jego była niezwykle czołobitna:

„Mieszkańcy m. Łodzi i ja wraz z nimi, upraszamy JW. Hrabie przyjąć głębokie podziękowanie za zapowiedziany telegraf i razem najpokorniej prosić o powiększenie Świąt Wielkanocnych — ppłk. v. Broensen”.

Telegraficzna odpowiedź carskiego satrapy brzmiała: „Dziękuję za życzenia i proszę oświadczyć walecznym wojskom powierzonego mu (tzw. Broensenowi — AK) oddziału i mieszkańcom m. Łodzi powinszowanie uroczystości Świąt Wielkanocnych — Hrabia Berg”.

Tęgo rodzaju demonstracja serwilizmu nie „pozywała w publiczności należytego uznania”. Mimo nacisków policmajstra i prezidenta Andrzeja Roskiego na polskich kamieniczników i fabrykantów nie udało się Johannowi Petersilgemu zdobyć w środowisku polskim niezbędnych środków pieniężnych na dalsze prowadzenie dwujęzycznego pisma. Polacy jednoznacznie poparli redakcję, odmawiając jej swego poparcia, chociaż przedsięwzięcie Johann Petersilge uruchomił agendy pisma w Kaliszu w księgarni J. Mittweha i w Warszawie u Q. Liefeldta przy ul. Danielewiczowskiej nr hip. 495.

31 grudnia 1864 r. ukazał się ostatni numer polsko-niemieckiej gazety łódzkiej, ustępując miejsca gazecie niemieckiej „Łódzer Zeitung” (popularnej „Łódzercie”), ukazującej się nieprzerwanie od 1 stycznia 1865 r. do 4 lutego 1915 r.

Zaczął się trwający przez wiele następných lat okres rusyfikacji, a w Łodzi także germanizacji różnych przejawów życia publicznego. W miesiąc zaledwie po zawieszeniu „Łódzkich Ogłoszeń” magistrat miasta Łodzi napisał uprzejmie członków Rady Miejskiej i Dozoru Bożniczego, aby raczyli się zebrać 1 lutego 1865 r. o godz. 11.00 w sali posiedzeń magistratu „dla asystowania przy uwolnieniu od służby dotychczasowego Prezydenta Miasta i instalacji zastępcy prezydenta”. Spodziewać się należy, że tym razem 34 rajców miejskich „raczyło” przybyć na posiedzenie, które zdecydowało o odsunięciu od władzy Andrzeja Roskiego, wyraźnie sprzyjającego powstańcom, a nawet podejrzanego o milczące przyzwolenie na wydanie kasy miejskiej powstańcom z partii lewicowej 22 lutego 1863 r.

„Łódzkie Ogłoszenia”, których krótką historię tutaj przedstawiłem, miały zaledwie 300 prenumeratorów. Do naszych dni zachowały się w jednym zaledwie egzemplarzu jako cenne źródło do poznania przeszłości naszego miasta.

ANDRZEJ KEMPA

1 Spojrzenie znad szachownicy

Wrózenie z sufitu

1.

Znaczna część polskich gazet tygodni w tygodniu drukuje horoskopy, są one jednak rzecz ciekawa, zazwyczaj najzupełniej od siebie odmienne, choć nie wydaje się możliwe, iżby trzy planety inaczej przebiegały nad Łodzią, inaczej nad Warszawą, a jeszcze inaczej — dajmy na to — nad Gdanskim. Albo więc w polskiej prasie ścierają się różne szkoły astrologiczne, albo też — co ciekawiejsze — większość serwowanych czytelnikom wróżb opiera się nie na obserwacji nieboskłonu, lecz sufitu.

I tu czas wrzeszcze zdradzić, że dysponuje sufitem wyjątkowo wręcz do wróżb przydatnym, pełnym fantazyjnych plam i zacieków przywołanym na brzmiałym bablami oraz strugami odpadającej płatami farby emulsyjnej, a to wszystko dlatego że nad moim sufitem jest stych, a nad stychem dach którego właściwy ADM raziak z właściwym ROM-em niak nie potrafiła wyremontować. To znaczy był remont, a i tak, tyle że po tym remoncie dopiero wszystkim zaczęło cieknać na głowę.

2.

Był namiętny dureń bytbyś, a tym pewno przejął i zaczął nawet bisywać skarki do gazet, co do mnie uznałem jednak, że każda niedogodność ma swoje dobre strony, które należy umiejętnie wykorzystywać.

Nie wiem, co da się wycisnąć z sufitu jako tako czyszczone, pewno jakieś słodkawe osłonki w sam raz do wyzłazania na zewnątrz, prognozy oparte na plamach i liszajach spełniają się wszelako z nieubłąganą pewnością. Gdy dobrych parę lat temu polawili się pierwsze solidniejsze zacieki, wywróżyłem z nich nieomylnie, że za jakiś czas zaniknie również podłoga na strychu i nikt się tym specjalnie nie przejmie. Istotnie zanikła, istotnie nikt się nie przejął, teraz pozostaje więc już tylko czekać, aż siroć zacznie się walić w ramach tak zwanej troski o substancję mieszkaniową.

Dom jest solidny, bo stary, trochę przeto to jeszcze potrwa, póki co może tedy świadczyć wieszczbiarskie usługi zarówno dla ludności, jak i na eksport. Nawiazuję w nich śmiało zarówno do starożytnej tradycji wróżenia z jeli zwierząt, ofiarnych jak i do nowszej — wróżenia z fusów po kawie, co w rezultacie daje towar pierwszej jakości, którego z pewnością nie zdołam nastarczyć.

Zmusza mnie to, rzecz zrozumiała, do wprowadzenia normalnej procedury przedpłat, to znaczy że forse przyjmuję od dziś, natomiast towar otrzyma klient kiedyś tam w przyszłości i po ostatecznej cenie, jaką uznaję za właściwą. Kto będzie miał szczęście otrzymać wróżbę — odrzut z eksportu, kto będzie miał pecha trafi na ciut wybrakowaną, po dłuższych okresach rozpoznajeń z mojego sufitu mało da się bowiem nowego wycisnąć a pracować to jest wróżić trzeba przecież na okrasko.

3.

Oczywiście niektóre prognozy dalały się również wyprowadzać z szachów, szachy są jednak gra logiczna i tylko do tak logicznych działań można te odnosić. Kiedy bank rozpoczął BITWE o BONY (patrz felietonik pod tym tytułem w „Ogłoszeniach” z 20 sierpnia), jako namiętny szachista miałem przez moment, że ma on jakiś tam plan kampanii, jeden rzut

oka na sufit przekreślił wszelako te złudne nadzieje.

Z układu plam, babli i zacieków wynikało niezbicie, że bank rozpoczął całą operację bez przygotowania, odpowiednich zasobów gotówki i jakiegokolwiek pomysłu, co wróżyło klęskę, która jest już bliska. Kolejne podwyżki cen skupu na 1550, 1750, 1950 i 2050 złotych nie daly, bo nie dać nie mogły. Cinkciarze zawasze płacili przynajmniej o 50 złotych drożej, sprzedając potem towar z umiarkowanym zyskiem, a gdy bank też zaczął sprzedawać — obstawili kasy i wedle nieformalnego oświadczenia nieformalnego rzeczownika tej nieformalnej grupy przechwycili przynajmniej 90 procent bonów, skutecznie zniechęcając osoby postronne do ustawiania się w kolejce.

Taki obrót wydarzeń był dziecinnie prosty do przewidzenia i choć istotnie na czarnym rynku kursy walut rosły, banki zrobiły oeromny wysiłek, aby proces ten znakomicie przyspieszyć. W ciągu trzech miesięcy bonów podskoczył z 1700 do 2300 złotych i chciałbym się dowiedzieć na takiego diabła było to bankom potrzebne?

Jeżeli zaś, zgodnie z deklaracjami, ceny bonów miały się przynajmniej ustabilizować, tyle że — jak to u nas — coś całkiem odmiennego z tej operacji wyszło, zadowole się oznaniem nazwisk projektodawców tego całego, pożałujcie, manewru. Mam do tego demokratyczne prawo, on się bowiem bawia a ja i mnie podobni trawerzy za całą zabawę placu uwodzą więc wiedzcie kogo mam okłaskiwać przy kolejnym, i także zasłużonym awansie.

Jednocześnie raz jeszcze polecam sobie wraz z moim sufitem na którym wszystkim to z góry było zapisane.

JERZY P.

2 Nagle zastępstwo

Nowy, nowszy, najnowszy

Miało być w Łodzi muzeum. Dość oryginalne: łódzkie Muzeum Literatury i Prasy. Pierwotnie jako oddział Muzeum Historii Miasta Łodzi, w przyszłości jako samodzielna jednostka. I to nie było gdzieś ulokowane. Przy samym placu Wolności. Nie muszę dodawać, że zapalił się do tego pomysłu nie tylko muzealnicy z Antonim Szramem na czele, że zapalił się łódzianie (nie wszyscy, jak się okazało później...), że się zapalił oddział Związku Literatów i Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL.

Wszystko to się działo za dyktury Antoniego Szrama, człowieka, który ma więcej pomysłów niż zdążyłby zrealizować jego wnuk, gdyby mu się chciało (temu wnukowi). Zorganizowano już jakiś skromny personel, zaczęto projektować przyszłe muzeum, zaczęto zbierać eksponaty. Pewnie by już do tej pory coś z tego było, ale stało się inaczej.

Nie szczególnego się nie działo. Nowy dyrektor miał dużo pracy z wewnętrzną reorganizacją muzeum, ze zmianami kadrowymi, uporządkowaniem placówek, z wprowadzeniem w niej jakiegos przejrzyściego ładu, prawidłowego obie-

gu dokumentów itp. Na takie, za przeproszeniem, duperale jak muzeum prasy i literatury nie miał czasu. Ale przynajmniej nie przeszkadzało. Pracownicy oddziału pracowali nad gromadzeniem zbiorów, programowaniem, projektowaniem itp.

Może w końcu doprowadziliby dzieło do jakiegoś początku, gdyby się nie okazało, że nowy dyrektor znalazł sobie pracę, która mu bardziej odpowiada intelektualnie i zaspokaja jego ambicje w pełniejszy sposób niż kierowanie muzeum. Odcodził więc, a na pusty stołek jest kandydat, który zna się jeszcze lepiej i jeszcze lepiej nadaje się na dyrektora.

Z nadzieją powitali kibice i działacze nowego, pardon, najnowszego dyrektora. Tak się bowiem składa, że jest on również literatem, a więc sprawa muzeum literatury będzie mu bardziej leżeć na sercu niż poprzednikowi.

Tymczasem nowy, pardon, najnowszy dyrektor ma inny pomysł! On łódzkie sądzi, że takie muzeum nie jest nikomu potrzebne. I na dodatek kosztowne...

Żeby sobie życia nie komplikować, rozdała hojną ręką to, co zdołano zebrać. Skoro tam są różne takie książki i gazety, jakieś tam jeszcze obrazki itp., spargają, to gdzie jest ich miejsce? No gdzie? W bibliotece, rzecz jasna! I dyrektor w te pędy przekazuje zgromadzone zbiory do biblioteki. Jak to kogoś interesuje, to przecież w bibliotece publicznej jest dostępne! Proste, jasne, nie wymagające zachodu i tzw. główkowania...

Powołano przed laty takie ciało, które miało jakoś tam koordynować pracę łódzkich placówek muzealnych. Jest to bowiem, wbrew pozorom, wcale niełatwa sprawa. Parę tych muzeów mamy i zawsze mogą powstać wątpliwości czy jakiś eksponat ma powędrować do Muzeum Sztuki a inny do Muzeum Włókiennictwa, żeby pozostać przy takim prostym przykładzie. A problemów jest więcej i doprawdy Rada Naukowa Muzeów — bo o niej mówię — miała do roboty wiele i mam nadzieję, że również sporo do powiedzenia. Niestety, jej przewodniczący, nieodwołany profesor Zdzisław Głowacki zmarł, i rada przestała się zbierać. Miał więc nowy, pardon, najnowszy dyrektor sprawę ułatwioną...

Mam jednak nadzieję, że oprócz milczącej Rady Muzealnej są jeszcze w mieście jakieś władze, które tę fatalną decyzję są władne anulować? Może Komisja Kultury Rady Narodowej? Ktoś to powinien zrobić. A nowego, pardon, najnowszego dyrektora zobowiązać, żeby zbiori starannie przechowywał. Przyjdzie przecież jeszcze nowszy dyrektor i może on założy wrzeszcze w Łodzi Muzeum Literatury i Prasy? Bo już nawet Muzeum Sportu mamy, niegłos sportowi i sportowcom nie umując. Ba, nawet Muzeum Historii Ruchu Młodzieżowego!

ANDRZEJ
KAROL

3 Lewym okiem

Emeryt rozumie

Nie ma to jak być emerytem, zwłaszcza w wielkim mieście. Człowiek przez całe życie wstawał o siódmej rano, albo nawet o szóstej, żeby zdążyć do pracy, teraz, po przej-

ściu na emeryturę, wstaje sobie o czwartej, albo i wcześniej, żeby zająć miejsce w kolejce, a to u rzeźnika, a to u numerka do lekarza, a to u biurowego paszportowym, żeby wyręczyć zięcia czy wnuka. Stanie w kolejkach to specjalność emerytów, kolejni są właśnie dla nich, oni są dla kolejek. Jeśli zdarzy się ktoś młodszy, ktoś w wieku produkcyjnym, to zaraz zaczyna głośno wyzywać, że są starzy. Podobno padają przy tym brzydkie słowa i wyzywka. Mówię „podobno”, bo emeryci na szczęście tego nie słyszą, mają słuch przytępiły. Dobrze być emerytem. Nie widzi się czy ekspedientka dowożyła czy nie dowożyła, nie dostrzega się zapłutych schodów we własnym domu ani skandalicznie brudnej ławki na autobusowym przystanku.

Emeryt się nie śpieszy. Nie przestępuje nerwowo z nogi na nogę stojąc na przystanku i spokojnie czeka aż nareszcie za godzinę czy za półtorej pojawią się dwa czy trzy autobusy naraz, wtedy do tego trzeciego będzie już można jako tako wejść. Prawdopodobnie miejsce siedzący także nie będzie i w tym trzecim, ale emeryt już się przez swoje siedemdziesiąt lat nasiedziało dosyć może sobie postać. Czasem zresztą trafi się ktoś, kto wstanie i ustąpi miejsca. Przeważnie będzie to ktoś po czterdziestce, bo poniżej tego wieku nikt sobie nie wyobraża, że starego mogą boleć kości.

Jeśli jest ciepły dzień, emeryt siada sobie na ławeczce w parku i karmi okruszynami gołębie. To jedyny stworzenia, które jeszcze czegoś od starego człowieka oczekują, a nie mają pretensji, jeśli im się czegoś nie podzuci.

Restauracje dietetyczne to coś w sam raz dla emerytów, których wątroby marszcza się już na sam widok rumyżu z pieczarkami, bigosów i kapusniaków serwowanych przez wszystkie zakłady gastronomiczne w kraju jak rok okrągły. Niestety przed restauracją dietetyczną trzeba znowu odcisnąć co najmniej godzinę na ulicy przed otwarciem lokalu, a pogoda nie zawsze sprzyja, a jeśli wrzeszcze oddechowa kleiku i kłopsików w sosie koperkowym. Pozostają, jako ostatek ratunek, bary mleczne. Tu są też kolejni, ale na szczęście wewnątrz lokalu. Posuwają się szybko i do swoich leniwych pierożków zawsze człowiek bez większego trudu dobrane. Dobrze być emerytem. Pani operująca zamaszycie chochłają nie żałuje jadła, zawsze dorzuca o kółkowiek więcej ponad normę, człowiek nie odejdzie od stołka głodny, nie ma kłopotu z wiecznym złym i zmęczonym kelnerem, nie zamienia mu w szatni kapelusza. Obiady są smaczne, zdrowe, a do niedawna były także niedrogie. Od pewnego czasu jakby rewaloryzują się szybciej niż same emerytury. No to co z tego? Emeryt, jak nikt inny, rozumie konieczności ekonomiczne, prawa działające na rynku, wielkość zadłużenia kraju i konieczność spłacenia długów. Emeryt uczył się tego wszystkiego przez całe długie życie, godzinami słucha radia i doskonale wie co się dzieje na świecie, a szczególnie we własnym kraju. Współczuje młodym ludziom, którzy muszą szarpać się i zżerać w walkach o czteronastę pensję, o wolne soboty i płatki, o dodatki do premii, o odroczenia i inne dobra tego świata. Emeryt już o to wszystko walczyć nie potrzebuje, jemu jest lepiej niż tamtym. Czasem się tylko martwi, że w sobotę nie ma mu kto zrobić zastrzyku, bo święto, że nie dostanie w sobotę lekarstwa, bo apteki świętują i w ogóle nie wyjdzie z domu, bo świętuje większość autobusów i tramwajów, a na starość wszędzie daleko.

I tak mija miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Czytatem, że gdzieś na Kaukazie, w Tybecie czy w Patagonii, żyją pasterze po sto dwadzieścia lat, żyją chyba właśnie tak jak nasi wielkolepijscy emeryci. No to co, fajne życie mają, nie?

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

ODGŁOSY 15

— Wersz do mnie grafa Fulke i Awd. Niechaj Awdaniec przyniesie z sobą jedną ze swych kołczastych kul na łan-uchu Niechaj również, jak to dawno poleciłem, przyjdzie i Łabędź Rudy. Czy na próżno noszą rękawice w swoich kapturkach, odrobnie łabędziego puchu? Musi być jakieś pokrewieństwo między nimi i Skrzydlatymi Ludźmi. Może znają ich tajne sposoby walki?

Gdy Herim gotował się do wyjścia, dodał jak gdyby od niechcenia:

— Spicimir przejął posłańca od Zyfiki do ciebie, Herimie. To już trzeci w ostatnim czasie. Jeśli płaszcz nosisz na dwóch ramionach, a nie na jednym, jak każdy z nas, możesz zostać rozdzielony mieczem także na dwie połowy.

Mimo upału Herimowi raptem zrobiło się zimno. A więc Spicimir przejął aż trzech posłańców Zyfiki. Czy przejął także posłańców, których on stał do Zyfiki. I co oni zeznali na torturach? Drzącymi rękami zebrał ze stołu rulony pergaminów i wreszcie odważył się powiedzieć:

— Jeśli uważasz mnie za zdrajcę, panie, czemu nie ucinasz mi głowy?

Dago pogardliwie wrzucił ramionami.

— Może i na to przyjdzie pora, gdy posuniesz się za daleko w swej miłości do Zyfiki. Lecz jak do tej pory nie widzę powodu, aby pozabawiać się przyjaciela, który umie czytać i pisać, wykresłać drogi i granice na pergaminach. Zyfika chce, abym uznał Kira za swego pierworodnego syna i dziedzica. Do kogo ma się zwracać w tej sprawie jak nie do mego kanclerza? Ty zaś ślesz do niej posłańców z odpowiedzią, że nie możesz u mnie niczego wskórać, ale to jeszcze nie zdrada, Herimie. Wiem też, że gdy wedrowaliśmy we trójkę przez bagna i puszcze pokochaliśmy ją, choć myślałeś, że jest chłopcem. Kto potrafi być wierny swej miłości do kobiety, ten potrafi być wierny i swemu władcy, jeśli i jego kocha na swój sposób. — Wiesz, panie, że cię kocham.

— Dlatego wciąż jeszcze twoja głowa spoczywa na twoim karku. Pamiętaj jednak, że Zyfika ma teraz już dwoje dzieci. Jedno ze mna, a drugie z niewiadomego ojca, którego kazala zabić. Twoja miłość do niej nigdy nie zagna zaspokożenia, gdyż, wiesz o tym dobrze, musiałbyś wtedy oddać życie. To wciąż Dzika Kobieta. Nie zapominał o tym, Herimie. I nie zapomni mi powiedzieć, jeśli cię poprosi, abyś otrul mego syna, Lestka.

— Panie mój... — Herim rzucił się do kolan Dagona.

— Odejdź — powiedział cicho Dago. — Wiem, że nie cofnie się przed niczym, abym Kira uczynił dziedzicem mego państwa.

Upał zmorzył Dagona i wkrótce zasnął. Ale kiedy się zbudził, starał sobie przypomnieć sen, który go naszedł. Na próżno jednak wysłał swoją pamięć. Miał jedynie świadomość, że ów sen był męczący i przedziwny, ponieważ śnił o tym, o czym marzył skrycie od wielu dni, a właściwie od chwili, gdy dowiedział się o zdobywanej czarami długowieczności Ludzi Skrzydlatych. Wtedy to zaprzagnął nagle, lecz z ogromną siłą — żyć sto lat albo i więcej. Potężne państwo — wiedział to już teraz — nie budowało się w ciągu jednej chwili. Wymagało to czasu, wielu lat. Tak, żyć sto albo więcej; lat. Zdobywać coraz nowe ziemie i budować coraz nowe grody, umacniać swoją potęgę i panować, panować, panować... Nie zdradził swych myśli nikomu, nawet Herimowi i Spicimirovi, ale tak naprawdę pragnął wojny z Ludźmi Skrzydlatymi, aby sila lub namową skłonić ich do wydania tajemnicy długowieczności. Nie znał jej nawet na dworze Rhomajów, ani w Starej Romie, lecz przecież prawdą było, że władcy Ludzi Skrzydlatych żyli ponad sto lat. Czy zdobyć takie tajemnice, uczynić nie się długowiecznym, niewarte było każdej ceny, nawet niebezpiecznej wojny?

Był już wieczór. Kazał sobie podać jedzenie oraz wezwać Arne, którą Spicimir u miescił w bogato urządzonej komnacie w najdalszej części gniazдового dworu.

Natychmiast stawiała się na wezwanie. Miała na sobie lśniącą lekką suknię, obciągniętą w tali złotym pasem, poza tym nie nosiła żadnych ozdób i była z gołą głową. Długie jasne włosy zaplótła w warkocz, wy-

glądała na szesnastolatke, choć miała już lat osiemnaście.

— Wyruszasz na wojnę, Arne — powiedział Dago sadzając ją przy stole. — Pragnę cię pożegnać i zapytać, czy masz jakieś życzenie.

Milcząca Pokochała Dagona miłością od pierwszego wejrzenia. Pokochała też ów obrzydliwy sposób w jaki ją brał, gdy bywała do niego proszona na noc, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej.

— Myślałaś zapewne, że wezmę cię za żonę i uczynię władczynią — rzekł Dago. — Były chwile, gdy tego pragnąłem, gdyż z żadną kobietą nie było mi ostatnio tak dobrze jak z tobą. To jednak co muszę pokochać najbardziej nazywa się władzą i sztuka rządzenia ludźmi. Czy zgadzasz się pozostać tylko moją nałożnicą?

— Nie, panie. Nałożnicami się gardzi. Odkąd zaś ty dałeś mi rozkosz i wyróżniłeś spośród innych kobiet, nie zniosę niczyjej pogardy.

Potem zaklaskał Dago w dłonie.

trochę złota i abyś Spicimira wysłał do Kędzierzy w Kruszwie z tajnymi rozkazami. Niech mnie otacza tajemną opieką. Będzie Kędzierza czerpał zyski z zamtułów w Kruszwie, dlatego nikt mi nie zrobi krzywdy... Po jakimś czasie przekonasz się, że zamtuzy przynoszą więcej zysków niż niejedna wojna. Wojewodowie, władcy, starostowie i kupcy będą korzystać z mych dziewcząt. Mniej będzie gwałtów w twoim kraju...

— Ale te zamtuzy muszą mieć jakieś prawa, jakieś nazwanie...

— Będę wychowywać dziewczęta do służby u możnych. A ty otrzymasz najładniejsze.

— Mówiąc Arne wstała od stołu, rzuciła z siebie lśniącą suknię i naga położyła się na jego białym futrze. A kiedy i on zrzucił z siebie białe gacie i chciał w nią wejść, szepnęła: „Nie tak, panie, ale tak jak wiesz”. I położyła się na brzuchu.

Potem zaklaskał Dago w dłonie.

— Grodzierzka Kędzierza w Kruszwie umie czytać, a to znaczy, że uszanuje moje pismo. Dam ci też kilku walecznych ludzi, którzy twój dom w Kruszwie otoczą opieką. Później przyślę ci panie piękne niewolnice i dziewczki, zdobytą w wojnie, ale znające rozmaite mowy, aby mogły porozumieć się nie tylko z tutejszymi ludźmi, ale i z kupcami z obcych krajów.

— Miałam słąć wieści panu Spicimirovi... — zauważyła Arne, pytając patrząc na Dagona.

Herim pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Spicimir, panie, to człowiek surowych zasad i nie pochwali tego, co czynisz w Kruszwie. Za rozmaite wieści będzie ci wdzięczny, ale nie spodziewaj się od niego oznak wdzięczności. Zresztą, co stoi na przeszkodzie, abym i ja... — od ciebie owe wieści? Za niewolnice, jakie ci dostarczyliście zapłacisz mi tyle, ile żądam...

zjadła ze złotej miseczki, miała skórę jedwabistą i różową, okrągłe policzki bez najmniejszej zmarszczki. Także jej ciało było bez zmarszczek, bo całą skórę napinała gruba warstwa tłuszczu. Ciężka jej ogromne piersi, brzuch miała jak u kobiety ciężarnej, a jej pośladki i zad jak gdyby z dwóch kragłych głazów się składał i taką samą odznaczał się wartością. Eponja była rada, że oto kończy się czas świętowania, gdyż wciąż jeszcze odczuwała ból w kroczu. Podobnie bowiem jak jej pradziad, książę Sieradz, był mężem wszystkich kobiet Ludzi Skrzydlatych, tak ona, jego prawnuczka, kapłanka Eponja, była żoną i kochanką wszystkich mężczyzn. I wczoraj miała ją aż ośmiu, w nocy i w dzień, oczekujących rososem podgrzewanym w świętym kotle. Teraz zawałono głazami wejście do grot aż do zimowego przesilenia słońca. Lono Eponji wypełniało męskie nasienie, żądano jednak jego kropla nie

aby uczyniła mnie długowiecznym.

Dziwna to było prośba. Nikt dotąd z obcego ludu nie zwracał się z podobnym żądaniem do władcy Ludzi Skrzydlatych. Gdyby to uczynił jakiś potężny książę, król albo cesarz, być może Sieradz i Eponja rozważyłyby poważnie jego prośbę. Lecz słowo „Piastun” nie dla nich nie znaczyło, nawet, jeśli ów człowiek powołał do istnienia Państwo Polan. Niezwyciężeni byli Ludzie Skrzydlati i nie bali się żadnego sąsiada. Dlatego bez długich namysłów, tak samo na korze brzozeowej odpisała Piastunowi Eponja:

— Niechaj wprzód wyrosną ci skrzydła, a otrzymasz długowieczność.

(24)

aby uczyniła mnie długowiecznym.

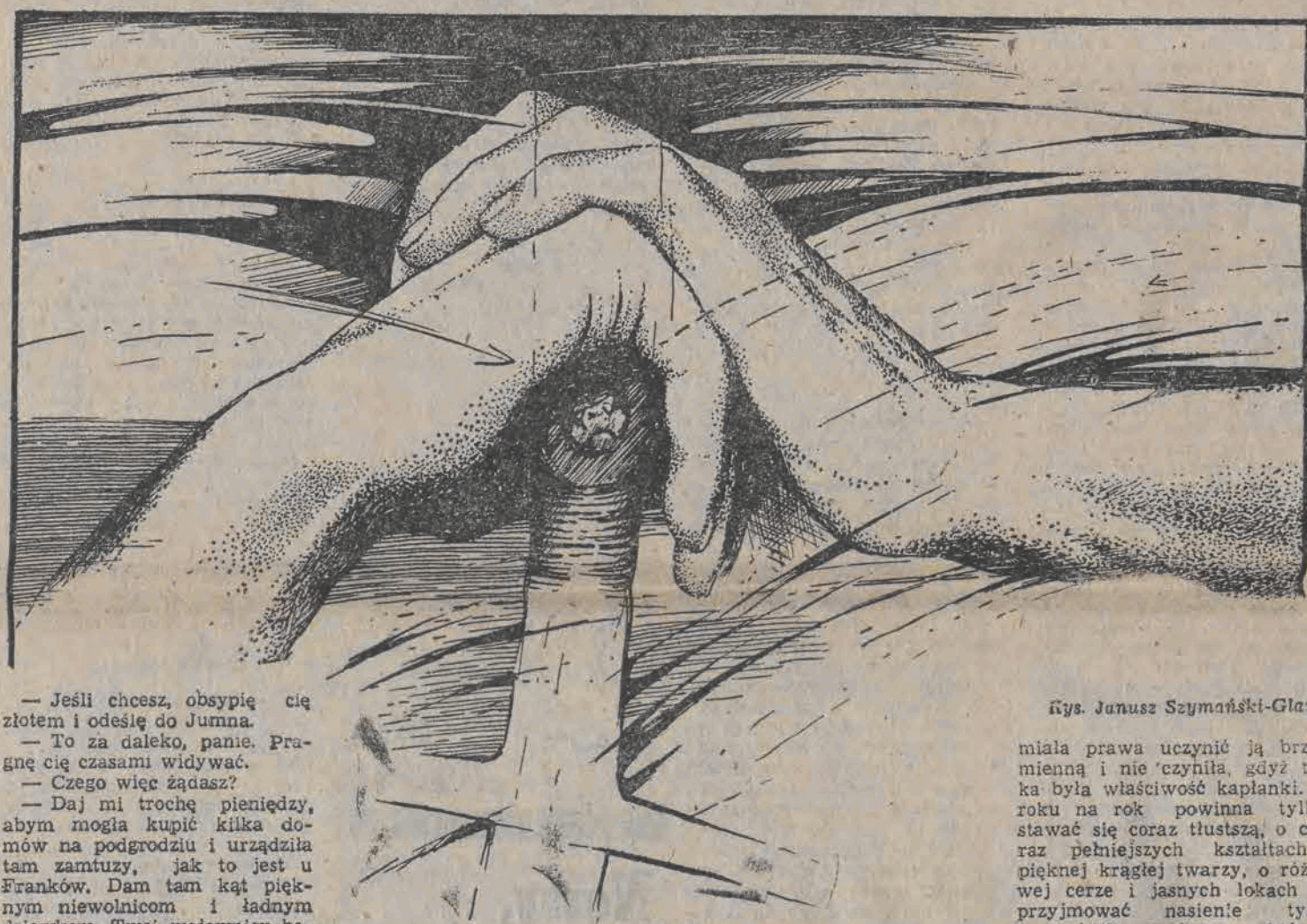
Dziwna to było prośba. Nikt dotąd z obcego ludu nie zwracał się z podobnym żądaniem do władcy Ludzi Skrzydlatych. Gdyby to uczynił jakiś potężny książę, król albo cesarz, być może Sieradz i Eponja rozważyłyby poważnie jego prośbę. Lecz słowo „Piastun” nie dla nich nie znaczyło, nawet, jeśli ów człowiek powołał do istnienia Państwo Polan. Niezwyciężeni byli Ludzie Skrzydlati i nie bali się żadnego sąsiada. Dlatego bez długich namysłów, tak samo na korze brzozeowej odpisała Piastunowi Eponja:

— Niechaj wprzód wyrosną ci skrzydła, a otrzymasz długowieczność.

(24)

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glane

— Jeśli chcesz, obsypię cię złotem i odesłę do Jumna.

— To za daleko, panie. Pragnę cię czasami widywać.

— Czego więc żądasz?

— Daj mi trochę pieniędzy, abym mogła kupić kilka domów na podgrodziu i urządzić tam zamtuzy, jak to jest u Franków. Dam tam kąpiel dla pięknym niewolnicom i ładnym dziewczkom. Twoi wojownicy będą musieli mi płacić, jeśli zechcą żyć z nimi rozkoszy. Będą u mnie pić wino, piwo i miód, zabawić się z kobietami, mówić po pijanemu, co skrycie myślał na trzeźwo. Ty zaś albo Spicimir dowiedzie się o czym mówię.

— To niemożliwe, Arne. Jesteś Strażnikiem Obyczajów. Wiesz jak surowo Gedania karała za rozpustę. Nie jestem tak surowy jak Gedania, lecz to musisz wiedzieć, że swoboda obyczajów jest matką wszelkich swobód, a ja ten lud chcę trzymać żelazną ręką. Zresztą, moi żołnierze tak lubią dziewczki, że praciłami różnolub twoje zamtuzy. Kto cię obroni?

Wynajmę wojowników do obrony swoich zamtułów, panie. A zyskami podzielę się z tobą.

— To niemożliwe, Arne. Władca nie powinien chronić zamtułów i czerpać z nich zysków.

— Ale może to czynić twój grodzierzka, starosta Kędzierza z Kruszwie. Nie załóż zamtuza w Gnieździe, ale w Kruszwie, panie. I w Poznaniu. Potem, gdy przekonasz się jak wielkie są z nich zyski i jak wiele dzięki nim wiesz o swoich poddanych, pozwolisz także założyć zamtuzy w Gnieździe.

— Dam ci tyle złota, ile zdołasz udźwignąć, ale zrezygnuj ze swoich zamtułów. Po co ci zamtuzy?

— Chcę ich, ponieważ zarabiam się od ciebie pożądaną władzę. Nie chcę jednak takiej władzy jaką ty masz, panie. Chcę władzy innej. Świat jest wielkim zamtuzem, panie. Kto rzadzi zamtuzem, ten rzadzi światem, choć to inne rady niż twoje. Proszę cię tylko o

nie i rozkazał pacholce wzywać Herima wraz z kawalkiem pergaminu i czernidłem. Popijając miód ze złotego kubka i zaśmiewając się, podyktował Herimowi:

„Ja, Dago Pan i Piastun zezwalam wielce szanownej i cnotliwej pani Arne wynająć dom w Kruszwie i otoczyć go strażą. W tym to domu ma ona zająć się wychowywaniem dziewcząt dla dworskiej służby, wiele bowiem dziewcząt jest bezpańskich i wykorzystywanych bezwstydnie. Dom cnotliwej pani Arne ma być też otwartą dla gości poszukujących dachu nad głową, zapewniając im dobre posiłki ku pożytkowi i sławie naszego kraju. Oplaty za swoje prace cnotliwa Arne określi sama w zależności od ceny zboża na targowisku”.

Herim, ciągle myśląc o schwytanym posłańcu od Zyfiki nie zastanawiał się nad treścią tego, co mu pisał kazał. Zdumiał się tylko, gdy Dago zapytał Arne:

— Ale nie oszukasz mnie? Dasz mi połowę zysków?

— Tak, panie. Przysięgam to na swój tyłek. I to jeszcze przysięgam, że co jakiś czas otrzymasz posłańca z wieściami, o czym mówią po pijanemu goście odwiedzający mój dom w Kruszwie.

Dopiero teraz pojawił Herim, jaki to aw napisał i czemu ma służyć ów dom w Kruszwie. Natychmiast zatarł swoje tuste dionie i powiedział:

— Jesteś chciwy, panie — zaoponowała Arne.

Ich spór wywołał nową falę wesołości u Dagona.

— Zaprawdę, Herimie — zawołał w końcu. — Gdy przestaniesz być moim kanclerzem, Arne uczyni cię swoim zastępcą.

Uśmiechnął się Herim i odważył zażartować:

— Czy nie pomyślałeś, panie, że służba w zamtuzie może być wdzięczniejsza i przyjemniejsza niż to, co robisz u ciebie?

— Wiem o tym — spoważniał Dago i rozkazał Herimowi, aby ze skarbcza wydał Arne cztery woreczki złota.

„A w tym samym czasie zupełnie różna od Arne kobieta o imieniu Eponja, dwudziestopięcioletnia prawnuczka księcia Sieradza, kapłanka, w dniu ósmym miesiąca sierpnia, gdy zakończono obchody święta Luga, w świetle pochodni przyglądała się jak trzydziestu skrzydlatych wojowników zawałano kamieniami wąskie wejście do ogromnych pieców w Białych wzgórzach. W obszer-nych wapiennych grotach zwanych Greine dogasał żar pod ogromnym kotłem, gdzie ludzie otrzymywali długi żywot. Eponja miała na sobie jedwabną wzorzystą szatę tak obszerną, że ukrywała jej niezwykle obfite kształty. Albowiem podobnie jak Matka Ziemia, tak i ona, jej kapłanka, musiała być tusta. Od dzieciństwa żywiona nadmiernie, przeważnie słodyczami jak choćby orzechami z miodem, które w tej chwili

miała prawa uczynić ją brzemenną i nie czyniła, gdyż taka była właściwość kapłanki. Z roku na rok powinna tylko stawać się coraz tłustszą, o coraz pełniejszych kształtach i pięknej kragłej twarzy, o różowej cerze i jasnych lokach i przyjmować nasienie tych wszystkich mężczyzn, którzy pragnęli żyć dłużej niż inni ludzie na świecie. Jej pełne czerwone wargi smakowały więc słodoc miodu z orzechami, boleowało lekko wejście do łona, czuła się jednak szczęśliwa ze spełnienia świętej powinności. Tylko odrobina niepokoju trawiała jej serce, ponieważ w nocy, gdy przez krótką chwilę mężczyźni, kąpiący się w świętym rosole dawali jej odpocząć, miała sen, że oto czterech koni obrzucił swymi długimi mieczami obecną skrzydła żołnierzom jej pradziada, a ona jest bezradna i ucieka przed nimi. Czy ten majak — śnienie w świętą noc Luga — nie był prorocy? Czy nie należało ostrzec pradziada, ojca i braci, że zbliża się wojna? Dlatego stała przy wejściu do grotu Greine i zawałala bacznie, aby żołnierze starannie zawałali wejście. Potem pozwoliła się czterem mężczyznom i legła w kolebce między dwoma koma-łami, które miały ją zanieść aż do Sieradza nad Wartą.

Skąd miał nadejść wróg — Eponja nie wiedziała, a co najwyżej mogła się domyślać. Późną wiosną przybył do Sieradza posłaniec z Państwa Polan i przywiózł zwoj kory brzozeowej, na którym czernidłem nakreślono magiczne znaki. Książę Sieradz nie pamiętał już prawdziwej sztuki utrwalania myśli i słów, ale kapłanki Ludzi Skrzydlatych posiadały tę magiczną wiedzę. Przeczytała więc Eponja swemu pradziadowi słowa i myśli utrwalone na korze brzozeowej.

„Ja, Dago Pan i Piastun, Dawca Wolności i Sprawiedliwości, Strażnik Obyczajów i Ojciec Mądrości proszę kapłankę Eponję z Ludu Skrzydlatych,

czeka na twoje rozkazy. Jasny panie — bronił się Awdaniec. — Według twojego polecenia ponad sześćset moich tarczowników wkrótce będzie cię oczekiwali w Gnieździe. Czy myślisz, że Sieradze siedzieli by tak spokojnie, gdybym zbytnio uszczuplił potęgę Awdanów? Przez dwa miesiące we wszystkich moich kuźniach robiliśmy dla wojska kołczaste kule na łańcuchach. Nimi zwyciężysz Skrzydlatych.

Odezwał się graf Fulko: — Kazał nam Piastun żyć o głodzie na granicy i rabować w kraju Ludzi Skrzydlatych. Dlatego wiem jak straszna jest ich konnica, gdy z szumem ogromnym spada na obce wojska i ploszy ich konie. Co pomogą kołczaste kule? To bardzo trudno sięgnąć taką kulą skrzydlatego jeźdźcy. Jeśli bowiem ma miecz tak długi jak ja, zanim się kulą zamachniesz, już jesteś trupem.

— To są kule dla tarczowników, grafie. To oni przyjmą pierwsze natarcie skrzydlatej konnicy i owymi kulami na łańcuchach będą miażdżyć koni-łom nogi — wyjaśnił Awdaniec.

— To są kule dla tarczowników, grafie. To oni przyjmą pierwsze natarcie skrzydlatej konnicy i owymi kulami na łańcuchach będą miażdżyć koni-łom nogi — wyjaśnił Awdaniec.

— Kazał nam Piastun żyć o głodzie na granicy i rabować w kraju Ludzi Skrzydlatych. Dlatego wiem jak straszna jest ich konnica, gdy z szumem ogromnym spada na obce wojska i ploszy ich konie. Co pomogą kołczaste kule? To bardzo trudno sięgnąć taką kulą skrzydlatego jeźdźcy. Jeśli bowiem ma miecz tak długi jak ja, zanim się kulą zamachniesz, już jesteś trupem.

— To są kule dla tarczowników, grafie. To oni przyjmą pierwsze natarcie skrzydlatej konnicy i owymi kulami na łańcuchach będą miażdżyć koni-łom nogi — wyjaśnił Awdaniec.

— Kazał nam Piastun żyć o głodzie na granicy i rabować w kraju Ludzi Skrzydlatych. Dlatego wiem jak straszna jest ich konnica, gdy z szumem ogromnym spada na obce wojska i ploszy ich konie. Co pomogą kołczaste kule? To bardzo trudno sięgnąć taką kulą skrzydlatego jeźdźcy. Jeśli bowiem ma miecz tak długi jak ja, zanim się kulą zamachniesz, już jesteś trupem.

— To są kule dla tarczowników, grafie. To oni przyjmą pierwsze natarcie skrzydlatej konnicy i owymi kulami na łańcuchach będą miażdżyć koni-łom nogi — wyjaśnił Awdaniec.

— Kazał nam Piastun żyć o głodzie na granicy i rabować w kraju Ludzi Skrzydlatych. Dlatego wiem jak straszna jest ich konnica, gdy z szumem ogromnym spada na obce wojska i ploszy ich konie. Co pomogą kołczaste kule? To bardzo trudno sięgnąć taką kulą skrzydlatego jeźdźcy. Jeśli bowiem ma miecz tak długi jak ja, zanim się kulą zamachniesz, już jesteś trupem.

— To są kule dla tarczowników, grafie. To oni przyjmą pierwsze natarcie skrzydlatej konnicy i owymi kulami na łańcuchach będą miażdżyć koni-łom nogi — wyjaśnił Awdaniec.

— Kazał nam Piastun żyć o głodzie na granicy i rabować w kraju Ludzi Skrzydlatych. Dlatego wiem jak straszna jest ich konnica, gdy z szumem ogromnym spada na obce wojska i ploszy ich konie. Co pomogą kołczaste kule? To bardzo trudno sięgnąć taką kulą skrzydlatego jeźdźcy. Jeśli bowiem ma miecz tak długi jak ja, zanim się kulą zamachniesz, już jesteś trupem.

— To są kule dla tarczowników, grafie. To oni przyjmą pierwsze natarcie skrzydlatej konnicy i owymi kulami na łańcuchach będą miażdżyć koni-łom nogi — wyjaśnił Awdaniec.

— Kazał nam Piastun żyć o głodzie na granicy i rabować w kraju Ludzi Skrzydlatych. Dlatego wiem jak straszna jest ich konnica, gdy z szumem ogromnym spada na obce wojska i ploszy ich konie. Co pomogą kołczaste kule? To bardzo trudno sięgnąć taką kulą skrzydlatego jeźdźcy. Jeśli bowiem ma miecz tak długi jak ja, zanim się kulą zamachniesz, już jesteś trupem.